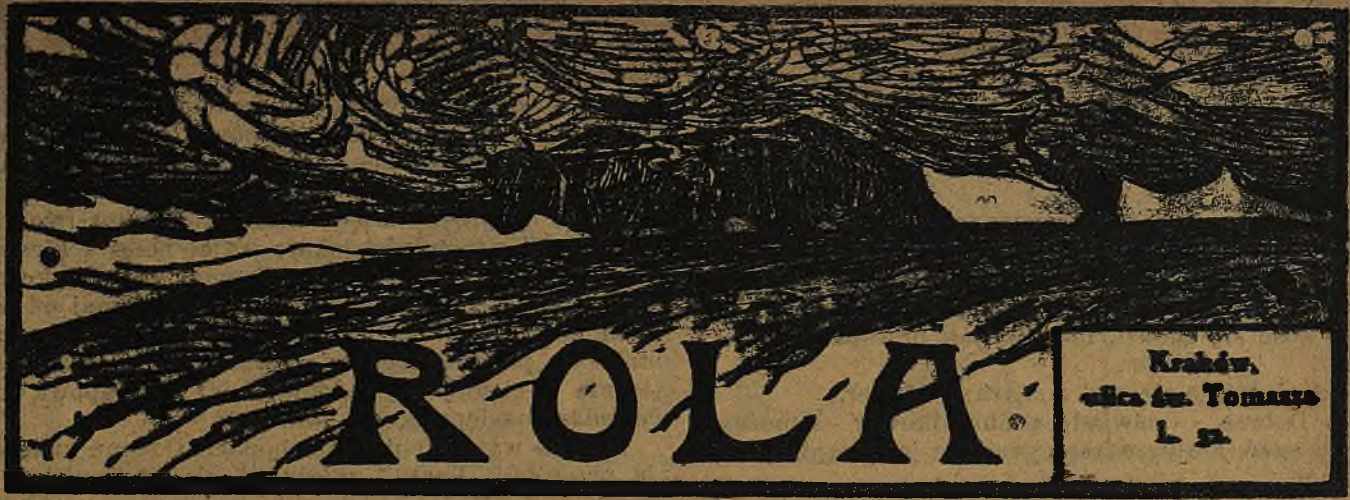
Numer 24. Nalež. poczt. opł. gotówką. Dnia 12 Czerwca 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Wszystkie zaległe numera „Roli" od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

Lunatyk.

Lopek Szpagat jest wojażerem. Pewnego razu przybył wieczorem do jakiejś dziury prowincjonalnej i udał się do jednego w mieście hotelu, prosząc o pokój:

— Wszystkie pokoje są zajęte! — oświadcza mu portjer.

— Lopek nie daje za wygraną.

— Może jednak... Niech pan sobie przypomni...

— Wie pan co, pod numerem 13 śpi pan Chętnikower z Lubartowa. W pokoju jest mała kanapka. Jeżeli gość się zgodzi, możesz pan przespać się na niej.

Lopek udaje się pod wskazany numer.

— Dobrze, — oświadcza Chętnikower — możesz pan tu spać, ale urzedzam pana, że ja chrapię przez całą noc.

— Nie szkodzi... Każdy ma swoje wady... ja jestem naprzykład lunatykiem...

Lopek kładzie się na kanapie i zasypia.

Rano budzi się. Chętnikower jest już ubrany.

— Panie Szpagat kochany, — powiedział pan, że pan jesteś lunatykiem, tymczasem obserwowałem pana przez całą noc i spał pan jak zabity.

— Widzi pan, gdybym tego nie powiedział, to pan chrapałby całą noc a jabym spać nie mógł.



Trafił frant na franta.

Wielką wesołość wywołało w kołach literackich i lekarskich Paryża zdarzenie, które rozegrało się niedawno pomiędzy pewnym lekarzem, a znanym krytykiem teatralnym.

Obaj ci panowie obecni byli w teatrze „Odeonu" na pierwszem przedstawieniu szekspirowskiego „Leara" w nowem opracowaniu i, wychodząc z teatru, spotkali się na schodach ulicznych gmachu teatralnego.

Wywiązała się rozmowa, podczas której lekarz spytał krytyka, co sądzi o tej nowej przeróbce dramatu szekspirowskiego. Krytyk wyłuszczył tak szczegółowo pytającemu swoją opinję, że wkońcu zachrypł, poprosił więc lekarza o lekarstwo na chrypkę. W odpowiedzi lekarz wyjął notes z kieszeni, skreślił na kartce receptę i podał ją krytykowi.

Następnego jednak dnia, krytyk otrzymał od lekarza list z żądaniem 50 franków honorarjum za udzieloną poprzedniego wieczora poradę lekarską. Ale nie w ciemię bity odpowiedział eskulapowi natychmiast następującemi słowami:

— „Za wyjaśnienie na schodach Odeonu znaczenia przeróbki „Leara" należy mi się 50 franków, a za chrypkę, której się przy tem nabawiłem — 50 fr. Odciągnąwszy więc od tego żądane przez pana honorarjum, pozostaje na moją korzyść 50 fr."



Dobrodziej.

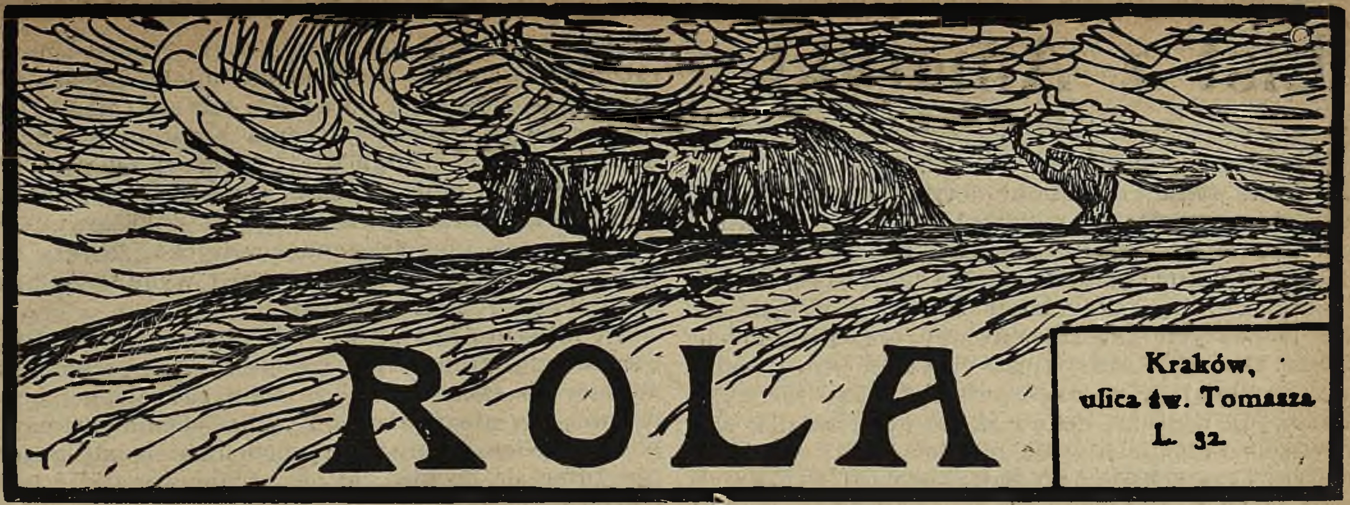
Do znanego filantropa przychodzi jakiś jegomość i powiada:

— Słyszałem, że Szanowny Pan udziela pomocy ludziom, znajdującym się w skrajnej nędzy. Otóż znam jedną biedną wdowę, która niema co jeść, niema czem w piecu zapalić, a do tego wszystkiego winna za 3 miesiące i gospodarz chce ją wyrzucić na bruk. Możeby Pan zapłacił za nią przynajmniej komorne.

— Dobrze. A gdzie mógłbym znaleźć właściciela domu?

— Właśnie ja nim jestem.

Numer 24. Rok XV. Kraków, dnia 12 czerwca 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Święty Antoni z Padwy.

Jednym z najczęściej wzywanych przez ludzi patronów jest bezsprzecznie św. Antoni, zwany Padewskim, bo w Padwie, włoskiem mieście, zakończył swój żywot i tamże w okazałym kościele mieszczą się święte szczątki jego. Choć nie był on Polakiem, a przecież w Polsce tyle osób nosi jego imię, że uważamy go niemal za naszego świętego. Dzieje się to dlatego, iż za wstawiennictwem świętego Antoniego wiele osób uzyskało różne łaski u Boga, a przedewszystkiem ci, którzy ponieśli jakąś stratę przez kradzież lub zgubę.

Wielki ten święty dowiedział się w młodości swojej o miljonach dzikich pogan w Afryce, którzy nie znając Boga, narażeni byli na wieczną utratę swej duszy. Wstąpił więc do zakonu św. Franciszka, aby jako członek tego zakonu głosić dzikim zasady religji katolickiej, zyskując ich nietylko dla Kościoła, ale i dla cywilizacji. Inne atoli było rozporządzenie Boga. W drodze do Afryki ciężko zachorował i zmuszony był wrócić do swoich, gdzie postanowił był sobie zająć ostatnie miejsce między zakonnymi braćmi. Jedynem jego staraniem było, aby jak najwięcej ludzi pociągać na drogę cnoty i zabezpieczyć ich tym sposobem od wiecznego potępienia. Na kazania jego, którym częstokroć jawne cuda towarzyszyły, garnęły się tysiące ludzi. Żaden kościół nie byłby ich w stanie pomieścić, dlatego też święty najczęściej pod gołem niebem wygłaszał swe kazania. Słowami swemi wzruszał do łez słuchających, a były wypadki, że nawet najwięksi grzesznicy po jego kazaniu powracali na drogę cnoty.

Razu jednego, gdy mieszkał u swego znajomego, spostrzegł gospodarz nadzwyczajne światło, bijące ze zamkniętego mieszkania, w którem modlił się święty. Zaglądnął przez szparę i spostrzegł prześliczne dzieciątko, stojące na książce, obejmujące świętego i przytulające się do niego. Po tem objawieniu gdy Antoni, wychodząc, spostrzegł gospodarza, prosił go, aby nikomu o tem nie wspominał.

Opowiadają zabawną anegdotkę, w jaki to sposób pewien żydek odzyskał swoje skradzione konie. Żydzina, gdy mu ukradziono konie, zawiadomił o tem policję i żandarmerję. Szukano ich gorliwie i on sam również szukał, ale bezskutecznie. Już zwątpił, czy je kiedykolwiek odzyska. Gdy wtem jakiś dowcipniś poradził mu, aby dał na Mszę świętą do świętego Antoniego, to ten święty pomoże mu konie odzyskać. Żyd uczynił tak, jak mu poradzono. Kiedy już Msza św. została odprawiona żyd był pewny, że święty Antoni konie mu przyprowadzi, ale nic podobnego się nie stało. Rozgniewany żyd, przechodząc raz koło figury św. Antoniego, którą otaczała garstka ludzi, zawołał z wyrzutem:

— Ny, Antoni, a gdzie moje koni?

Kiedy odszedł kilkanaście kroków od figury św. Antoniego, zbliżył się ku niemu znany miejscowy złodziej, imieniem Antoni i powiada:

— Nie róbze pejsacu awantur! Kiedyś juz spenetrował, kto ci świsnął kunie, to ci je juz i oddam. Ale broń cię Boże, abyś kogutom (Żandarmom) słówko pisnął, bo byłby kuniec z tobą!

W ten sposób żyd za wstawiennictwem św. Antoniego odzyskał konie i zachował dla świętego cześć dozgonną.

Jest to anegdotka, ale w rzeczywistości tysiące ludzi za pośrednictwem św. Antoniego odzyskuje swoje zgubione lub skradzione rzeczy, a niektóre wypadki wprost do cudownych zaliczyć należy. To też ołtarze tego świętego są wszędzie okryte licznemi wotami na znak nadzwyczajnych łask, doznanych za jego orędownictwem.

List z Ameryki.

(Nowela).

Po przeczytaniu go coś się złamało w duszy Juliśki. Jakiś świat, co istniał dotychczas, jakby zapadła się w odmęt, a wyłaniał się inny, zupełnie inny piękniejszy i słoneczniejszy cud-świat, czarświat. Świat, który znikał w jej oczach, jakby w topieli mgieł, dał jej dotychczas poznać, z wyjątkiem może pierwszych lat dzieciństwa, opromienionych miłością matki — samą tylko gorycz, nędzę i poniżenie; zepchnął ją w jakąś przepaść ,skąd nie było dla niej już wyjścia; dokąd żaden głos nadziei, żaden weselszy uśmiech życia nie dochodził; czynił ją parjasem i popychadłem u ludzi; odebrał jej niemal prawo do życia, do wolności ,do swobodnego rozporządzania sobą; była tylko cieniem człowieka — nie człowiekiem pełnym. Świat ten połamał jej u wrót życia skrzydła, które rwały ją w świat; zdusił jej wolną wolę, uczynił sprzętem, bezdusznym manekinem, niewolnikiem, przykutym do galer. Świat nowy, który w świtach złocistych, w purpurowych zorzach począł wschodzić dla niej z poza czarnych chmur doli obecnej, stawał przed nią, jak sen i marzenie, jak cudna bajka, jak pieśń, jak zew i hasło zmartwychwstania. Pieśń ta, wygrywana na lutennych strunach jej młodej, nieskażonej duszy — zapalała w niej tyle nowych błysków, otwierała tyle nieznanych jej horyzontów, tak kusiła ją czarodziejską mocą, że Juliśka nie poznawała samej siebie.

— Wej! Coś to do mnie przyczepiło sie? Ki licho? Wszyćko mie tera mierzi... Coś mi sie zwiduje w dalekości, barz jesce oddalonej, ale jus wyraźne, jak kieby jakisi nowy świat seł ku mnie w ogniach okrutnych, a taki piekny, przepiekny, ze raty... I taki tera cosik kucko i takam jakaś ściemzona, gdy patse na to wszyćko, na com do siela patsyła, ze wyleciałabyk, jak ptok na skrzydłach z haw z tela, tamoj, tamoj, hań, hań daleko, daleko, i nie wróciła jus wiency ani do Kulikowej, ani do Bystroch i Gadul — a tamoj jus została w tym świecie, co mi sie taki pikny zwiduje... bo tam mój tatuś złocienki ceka na mnie... Ale to nie Hameryka, nie, nie; o Hameryce ani wiedzieć nie kcę — to ten świat, jesce mi nieznajomy, co mi go tatuś kaze poznać przez naukę i który mi nauka ma otwozyć złotemi klucami... Nie umiem tego dokumentnie opowiedzieć, co to za świat, bo go jesce nie znom, ale, musi być, lepsy jest, nizeli mój, co dziska z nim zyję — musi, kiej tatuś mi ten świat wskazują i ucyć sie kazą.

I poczęła Juliśka rozmyślać nad tem i przechodzić myślą to wszystko, czego zaznała dotychczas na służbach, czy to u Gaćkuli, u której najpierw niedługo służyła; czy u Dyscowej, co ją sprała, jak nieboskie stworzenie i wyrzuciła pokrwawioną na mróz za to, że poślizgnąwszy się ze skopcem mleka, który niosła z podoju do kuchni, wszystko mleko wylała; czy u Gigońki, która choć nie biła, ale pomstowała o byle co, aż uszy więdły i klęła niczem węgierski ekonom, a w dodatku zapijała się często i djabelskie wyprawiała wtedy brewerje, że wszyscy z chałupy uciekali, by garnkiem albo czem twardszem jeszcze w łeb nie dostać. Sprzykrzyła się Juliśce taka służba ino, że nie posyłano jej do szkoły, do której Juliśka u „piekielnicy“, jak Gigońkę we wsi nazywali i przeszła do Kulikowej. Tu jej było lepiej trochę, to jedno tęskniła i jeszcze chodzić miała dwa lata. A uczyła się dobrze. Na świadectwach szkolnych miała więcej bardzo dobrych not, niż dobrych; tylko z jednych rachunków zawsze, niezmiennie miała dostatecznie „nijak nie mogąc im poradzić“, jak się sama z tego tłumaczyła. Kulikowa ją sama chwaliła przed kumoszkami, gdy się zgadało o nauce i szkole.

— Ho, ho! moja pasterka, Julisia, o królach cećjakich Kazimierzak wielkachnych, o królowyk Jadwigak — to umi na pamięć wszyćko, ze raty słuchać! Księżycek tys ta ją kwalił i wybulił jej pirsy barzdobre z religiji — wicie!

Ale mimo to ani słyszeć dalej o szkole dla Julisi nie chciała, tłumaczyła się przed kumoszkami, że od niej do szkoły daleko, toby żadnej pomocy z dziewczęcia nie miała, gdyby ją chciała na naukę posyłać. Nieraz Julisia przypochlebiała się gaździnie, tuląc się do niej, jak do rodzonej matki i lękliwie prosząc ją, żeby choć od czasu do czasu mogła do szkoły zaglądnąć, ale Kuliczka odganiała ją precz.

— Ho, ho! — dość ty jus umis, psia dulko jedna, dość! Jo tyla nie umim, a zyję. Co ci ta po Kazimizak i Jadwigak! Królową nie będzies, jacy dziwką stajenną i usługą. Niek ci sie w głowie nie wywraca. Jak kces, to se z papiru śrybnego uładź taką królewską korunę jak to Jasiek Piskorz w Trzech Króli ubira się za króla — udawaca i smykaj się w niej przy krowach, to cie moze lepsi słuchać bedom — królowej!

Raz nawet sama nauczycielka przyszła do chałupy Kuliczki i przedstawiła jej w dobry sposób, że obowiązana jest posyłać Julkę do szkoły, bo takie jest prawo, ale Kuliczka zacięła się — nie i nie. Jak ją będą chcieli zmusić, — w te pędy wyżenie dziewczynę z chałupy.

I tak skapało lat parę na ciągłej uganiaczce za krowami i kozami od wczesnego świtu do zmroku. Przez cały ten czas oprócz książki „modlącej“, żadnej innej w rękach nie miała. Smutno jej było, okrutnie smutno za szkołą. Ale musiała pogodzić się z losem.

Aż naraz ojciec otwiera jej bramy tego raju, z którego ją wygnano. Może znów przekroczyć progi szkolne, tak jej drogie, tak umiłowane.

Zdecydowała się w najbliższą niedzielę iść do księdza kanonika, pokazać mu list i prosić o radę i pomoc. Czuła, że już w dotychczasowych warunkach żyć nie będzie mogła; że już tego pragnienia, które rozbudził w niej ojciec, wskazując na źródło, dające pokrzepienie i moc, nie ugasi niczem, tylko pijąc u tego zaczarowanego źródła.

* * *

Na plebanji po nieszporach niedzielnych u księdza kanonika poważna i dziwnie uroczysta narada. Wokoło stołu siedzi gromadka ludzi w skupieniu. Są tam: wójt gminny Wojciech Bulanda, nauczycielka miejscowej szkoły, oboje Kulikowie i okrutnie zawstydzona na końce palców u swych nóg patrząca z tępym uporem Juliśka Pękalówna. I ona, jak jaka pani, choć ją ledwie z za stołu widać, siedzi wraz z innymi w jednej gromadzie. Wszystkie oczy na nią są zwrócone. Czy patrzą na nią, jak na intruza, który tu w to poważne grono wcisnął się niepotrzebnie, czy też z życzliwością? Nie umiałaby ino, że nie posyłano jej do szkoły, do której chodziła Juliśka u „piekielnicy“, jak Gigońkę we wsi nazywali i przeszła do Kulikowej. Tu jej było lepiej, to jedno oczy wójta wświdrowały się w nią dziwnie uparcie, lecz z dostojeństwem i powagą, jak przystoi pierw-

szemu urzędnikowi gminy, oczy gazdy Kulika dość zimno i obojętnie — tylko oczy Kuliczki błyskały jakoś złośliwie. Tak się przynajmniej Juliśce zdawało. Toteż Juliśka siedzi, jak na cenzurowanem, zakłopotana bardzo, pali się jak gorejący krzew; nie śmie spojrzeć śmiało w oczy tej poważnej gromadki, co zasiadła dokoła długiego, zielonego suknem nakrytego stołu i nie wie, co zrobić z rękami, które wydają się jej za długie, o wiele dłuższe, niż je wczoraj miała, albo zgoła niepotrzebne. To chowa je pod fartuszek; to strzępi róg swej chustki, która ciągle opada jej z ramion kanciastych; to nawet, jakby dla dodania sobie odwagi szczypie się po chudych nożętach. Nic to nie pomaga. A ten wójt patrzy się w nią i patrzy i oczu nie opuszcza z niej ani na chwilę. — Choć go polubiła za to, że doręczył jej tak ważny, rozstrzygający o jej przyszłości list od ojca, chętnie pokazałaby mu język, jak długi. Ale przecie nie można! Gdzieby zaś!

Na szczęście przerwał ciszę staruszek proboszcz i oczy wszystkich zwróciły się teraz na mówiącego. Ksiądz kanonik, trochę już pochylony i drżący, oznajmił wszystkim wobec i każdemu z osobna, że od dzisiaj Juliśka Pękalówna przechodzi pod wyłączną jego opiekę. Taka jest wola jej ojca, Grzegorza Pękali, który oto tym listem z Ameryki tu przesłanym daje mu pełnomocnictwo rozstrzygania o losie córki Julјany. Juliśka Pękalówna od jutra zapisaną zostanie do szkoły na szósty rok nauki i zamieszka na plebanji. Prócz tego, aby nadrobić przerwę w nauce, nie z jej winy spowodowaną (tu Juliśka spojrzała triumfująco na Kuliczkę, a ta bazyliszkowem okiem na Juliśkę, a więcej jeszcze na nauczycielkę), będzie pobierała pozaszkolną naukę u obecnej tu pani nauczycielki. O dalszych losach rozstrzygnie ojciec, gdy z Ameryki powróci. Gdyby wszakże z przyczyn od niego niezależnych nie powrócił dość wcześnie, również i dalszą opiekę powierza mnie i panu wójtowi, żądając z naciskiem, że pragnie, aby córka jego z ludu góralskiego wyszła, powróciła do tego ludu, ale jako nauczycielka. Narazie na konto kształcenia się i utrzymania córki przesyła dwieście dolarów. Dopóki Julisia Pękalówna uczyć się tu będzie we wsi, ja zobowiązuję się ją utrzymać i łożyć na wszystkie jej potrzeby. Kapitału nie chcę ruszać i umniejszać; przyda się bardzo na dalsze lata nauki już w mieście. Przyszłość Julisi zapewniona, tem więcej, że ojciec w miarę możności będzie przesyłać dalsze kwoty.

Odczytawszy jeszcze w całej osnowie pismo ojca Juliśki, podziękował stary pleban obecnym za przybycie jako świadków tej spełnionej woli ojca. Do Juliśki zaś podszedł, ujął ją miłościwie za głowę i złożył na niej pocałunek.

— Zanim ojciec twój wróci, pamiętaj Juliś, ja ci będę zastępował ojca. Zwracaj się do mnie zawsze z całą ufnością. Proszę cię o to, a teraz błogosławię cię ręką kapłańską na przyszłe nowe życie!

To mówiąc, cicho odmówił krótką modlitwę i krzyżem św. pobłogosławił dziewczynkę, która z głośnym szlochem padła mu do nóg i objęła kolana. Wszyscy obecni powstali w tej uroczystej chwili, nie mogąc również wstrzymać się od łez.

* * *

Lata płynęły. Juliśka uczyła w szkółce wioskowej, jako nauczycielka ludu, błogosławiona przez wszystkich dla swej dobroci i umiłowania dzieci, pieczy jej oddanych.

— Ach, ojcze mój drogi — mówiła do ojca nieraz, gdy po żmudnej pracy nauczycielskiej odpoczywała przy boku ojca, który ledwie parę miesięcy temu z za morza powrócił — jakże jestem szczęśliwa! Tyś jeden, choć za morzem, zrozumiał moje sny i marzenia. Niech ci Bóg stokrotnie za nie zapłaci! Nie zapomnę do śmierci tego pierwszego twego listu z Ameryki!" On rozstrzygnął o losie moim. Dlatego widzisz, jako najświętszą pamiątkę, oprawiłam go w ramki, by mi zawsze przypominał ciebie i ten pierwszy świt nowego życia!

— Niech ci Pan Jezus błogosławi zawsze dziecię moje! — odrzekł wzruszony ojciec. Wreszcie po strasznej burzy życia znalazłem przy tobie port zaciszny i błogi. Jestem również bardzo szczęśliwy. Słów mi brak na wyrażenie mej radości. Zawdzięczam to w pierwszym rzędzie twym gorącym modlitwom. Bóg je wysłuchał. Ale jak ten pierwszy list amerykański był świtem twej nowej przyszłości, niechże ten zapis — tu podał córce arkusz papieru — będzie jakby wykończeniem całego dzieła.

— Co to jest tatusiu?

— Zapis na budowę domu ludowego i czytelni w tej wiosce przybranej. Niech będzie miejscem, gdzie ludzie przychodzić będą ucieszyć się godnie poczciwą rozmową i czytaniem uczciwych książek!

— Och tatusiu, jakiemiż słowy mam ci podziękować!

— Niczem, tylko tą błogą pewnością, że z ludu wyszedłszy, wróciliśmy do tego ludu z dobrą wolą i pragnieniem służenia mu aż do śmierci.

A wiesz, że dzisiaj jest właśnie dziesiąta rocznica listu z Ameryki? Tak, tatusiu — dziesiąta mojego zmartwychwstania.

A więc niech się święci ten wielki i pamiętny dla nas obojga list! Niech legat mój obecny będzie dowodem, że data jego będzie dla nas jakby świętem rodzinnem — odrzekł ojciec.

— I niech kiedyś będzie świętem dla wioski! — dodała córka i oboje zwarli się gorącym uściskiem.

Antoni Poloczek.

Chłopski wiersz wiosenny.



Przycik wiater południowy,
ciepłem takiem zacął dmuchać,
jaz sie bury las łolszowy
łobudziuł i wziął sie ruchać.
Słonko z nieba tyż łogrzoło
bioły świat blaskami swemi,
że zrobiuło sie wesoło,
a śnig gdziesik łucik z ziemi.
Woda w rzyce skądś wezbrała,
grube lody poruchała,
w kruchy je pogruchotała
no i do morza porwała...
Dobrze zrobiuł śnig, że stajoł,
bo już łodkrył moje pole,
żeby wiesna była, a jo
żebym radość mioł na cole.
Skowronek z wyraju wróciuł
szary, żwawy i szczęśliwy;
łon mi bedzie codzień nuciuł,
gdy wzleci nad ciche niwy.
Cheba jutro rusze w pole
z wołmi, z pługiem, z kolcentami,
by przełorać staro role,
łobsadzić jo zimniokami.
Posioć na ni łowsa troche,
jencmienia prosa i gryki —
żył nie bede juści piochem,
ani szczyrom wodom z rzyki!...
Wiesna lo mnie to cas pracy,
nie gapienio się na kwiecie;
bo ni może być jinacy:
trza robić by jistnieć w świecie!

Jan Matuszkiewicz.

Maki.

(Legenda).

Dawno już, dawno temu narodził się Mesjasz, Syn Boży. Zjawił się na świat w postaci drobnego Dziecięcia. Aniołowie zwiastowali Jego narodziny, bydlęta ciepłem swego oddechu stajenkę Mu grzały, królowie z odległych krain przynosili dary. Kto spojrzał na Świętą Dziecinę, umiłować ją musiał.

Lecz nikt nie kochał tak Boskiego Dzieciątka, jak Jego Matka Najświętsza. Cały dzień opiekowała się Niem, przemawiała doń słodko, a kiedy gwiazdy zabłysły na niebie, gdy do snu ułożyła małego Jezusa, Marja klękała u Jego pościółki, wpatrywała się w młodociane oblicze i rozmyślała, jak wielką jest dobroć tego, co z rozkosznego nieba zszedł na ziemię ratować grzesznych ludzi.

I wiele takich nocy przepędziła Marja, najszczęśliwsza z matek. Wiedziała, że Syn jej nie zbrudzi swojego serca żadnem złem uczuciem, że ręki podłym czynem nie skala.

I dobrze było w ubogim domku.

Lecz razu jednego zachorował Jezus. Ani świętemu Józefowi narzędzi podaje, ani ulubionych kwiatków nie podlewa. Rozpalone rączęta, główka zwisa na posłaniu.

Marja chłodzącą wodą okłada Jezusowe skronie. Święty Opiekun zaprzestał pracy, każdej chwili gotów na usługi. Pilnuje, żeby nic Dzieciątku spokoju nie zakłóciło. Zielone gałęzie znosi do izdebki: może chłód ich liści dobrze na chorego podziała.

Lecz ani ziółka, ani chłodzące okłady nic nie pomagają małemu Jezusowi.

Spojrzeli po sobie Józef i Marja. Zrozumieli, że domowe środki nie wystarczą do sąsiedniego miasta iść trzeba po lekarstwo.

Chciał iść Józef święty, lecz Marji się zdaje, że Ona prędzej zajdzie, że jako matka łatwiej uprosi o lekarstwo.

Zostawiła Dziecię na opiece świętego Józefa, a sama idzie spłakana, drżąca.

Aby prędzej! więc nie drogą podąża Marja, lecz po ugorze, gdzie drobne kamyki, kłujące osty ranią święte stopy. Nie po miękkim piasku, lecz po ostrem rżysku szybko biegnie Matka Jezusowa. I zdaje się, nie czuje, że z nóg pokaleczonych krople krwi spływają na ziemię.

Dopiero z powrotem, gdy jest blisko domu, spostrzegła na polu piękne, czerwone kwiaty, jakich przedtem nie było.

Na śladach krwi Najświętszej Matki wyrosły barwne maki.

Odtąd wyrastają co roku.



Uprzejmy włamywacz.

(Humoreska).

W pewien mglisty wieczór jesienny, w świetle latarni elektrycznej, stał elegancki młody mężczyzna, który się wpatrywał uparcie we frontowe okna na pierwszem piętrze. Można było przypuścić, że to jakiś zakochany. Nagle pan z pod latarni pośpieszył do bramy, wszedł szybko na pierwsze piętro, wyjął z kieszeni klucz, trochę osobliwego kształtu, otworzył nim drzwi i znalazł się w przedpokoju, widocznie komfortowo urządzonego mieszkania, które zdawało się być w tej chwili opuszczone przez właściciela. Cicho wsunął się do najbliższego pokoju i rozejrzawszy się szybko wokół, pochwycił mały, stojący na biurku złoty budzik i schował go do kieszeni. Właśnie zamierzał się zapoznać bliżej z innymi, znajdującymi się w tym pokoju wartościowymi przedmiotami, gdy drzwi otwarły się poraz drugi, a na progu ukazała się młoda, urodziwa, wykwintnie ubrana kobieta. Nie zdziwiła się ona wcale, gdy ujrzała gościa, ale uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Ach, to pan doktór Kucikiewicz — nieprawdaż? Mąż mi zapowiedział pańską wizytę, ale doprawdy, jakże mi przykro, że pan musiał czekać na mnie. Ale to moja służąca jest rzeczywiście do niczego. Wprowadza pana, a potem gdzieś ucieka, zamiast mnie zawołać. Ja wyszłam tylko na chwilę do sąsiadki. Czy pan mi przyniósł te pieniądze od męża?

Gość, który początkowo stał jak skamieniały, zrozumiał, jakie zachodzi nieporozumienie. Nie mogąc oczywiście zdradzać swojego właściwego celu wizyty, postanowił na wszystko odpowiadać „tak".

— Bo widzi pan — paplała młoda kobieta — to jest tak: przed godziną telefonowano mi z magazynu Zedrzyjskóra i Spółka, że dzisiaj jeszcze wieczorem odeślą mi moją suknię. Powiadam panu — poemat, nie suknia. Ale muszę zaraz wyrównać rachunek, a nie miałam tyle pieniędzy przy sobie, więc telefonowałam do męża, żeby mi natychmiast posłał 250 złotych. Mąż mi powiedział, że poprosi pana, łaskawy panie Kucikiewicz, ażeby pan, przechodząc, wstąpił do nas i przyniósł mi te pieniądze. Jaki pan uprzejmy, że pan się sam fatygował. Ogromnie się cieszę, że przy tej okazji mogę pana nareszcie poznać.

— Ależ, proszę pani — odparł teraz już z całym spokojem włamywacz — to taka drobnostka, że nawet niema o czem mówić. Proszę panią, oto pieniądze.

Gość wyjął z kieszeni portfel, wypchany banknotami i podał młodej kobiecie 250 złotych.

Czy mogę panią teraz pożegnać?

— Ale dlaczego pan chce już odejść, kochany panie Kucikiewicz? Przecież napije się pan choćby filiżankę czarnej kawy z kieliszkiem likieru? Zresztą mój mąż niedługo przyjdzie do domu.

— Bardzo mi przykro, łaskawa pani, ale tym razem nie mogę skorzystać z uprzejmego zaproszenia, bo mi się bardzo śpieszy.

Nadzwyczaj uprzejmy człowiek — pomyślała młoda kobieta, kiedy odprowadziła gościa do drzwi.

A ten, wieczorem, w kole swoich kolegów po „fachu i wytrychu" opowiadał, jak drogo musi płacić za to włamywacz, jeżeli się chce okazać dżentelmenem.

A. Poloczek.

Z życia ostatniego króla polskiego.



Powyżej zamieszczony obrazek przedstawia chwilę, gdy malarz nadworny, Bacciarelli, objaśnia królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu projekt ozdób w pałacu Łazienkowskim w Warszawie.



Spotykam ja wkiejsik Wojtusia od Matusa, co to juz trzeci rok ucy się w skole na cytaku i pytam sie go, ile on tez juz przez ten cas w swojej łepecie rozumu naskładał.

— E, — powiada Wojtuś — Jakoze ja mam w skole naucyć się cego, kiedy profesur sam nic nie wie. O byle odrobinkę to nas się pyta, bo sam nic nie umie. On nawet nie wie, ze jak się skońcy lato, to będzie zima, a jak się skońcy zwiesna, to będzie lato. Jakby wiedział, toby był wcoraj nie męcył Margośki Pęcakówny bez całą godzinę i nie wypytywał się jej o to. On ci nawet nie wie, jak się nazywa najwiękse miasto w Polsce. Całą klasę o to się pytał. Zgadywali my, jak kto mógł. Jedni mówili, ze Mościska, inksi ze Skawina, znowu inksi, ze Pipidówka, a on wierzyć nie chciał, ino się kuzdego pytał: Lacego? A jak juz ni mógł pokurać, to przysedł do małpy, co wisi na ścianie, popatrzył na nią i pokazując paluchem, powiada: A, smyki! A moze Warsiawa? Wszyscyśmy se przypomnieli, ze prawdę gada, ale my nie mogli spenetrować, jak on to zgadł. Na pauzie, jak profesur wysedł poswarzyć się z swoją babą o przypaloną jajeśnicę, poślimy do małpy i wysukali tę Warsiawę i zaraześmy się domyśleli, ze na małpie nie trudno było zgadnąć, bo tam, gdzie napisane Warsiawa, jest takie kółko, jak pięć grosów, a przy inksych miastach to ino tyle co jeden gros, albo i mniejse.

— Albo kiedyindziej — ciągnął dalej Wojtuś — to nam profesur powiadał, ze najwięksem zwirzęciem na świecie to jest słoń. Ale jakze mu tu wierzyć, kiedy to nieprawda. Gadam mu to, a on mnie jesce zwymyślał od osłów i inksych paskudnych rzecy. A jakze nieprawda, kiedy wkiejsik przecie Pamulina powiadali swemu Pamule: „Ty zatracony słoniu Boży!" a przecie wiadomo, że Pamuła znowu nie taki wielgaśny, bo są u nas w Psiej wólce jesce większe gady, jak Marek Słowik, Michał Kot, Bartek Pluskwa i inkse. Gadał takze, ze słoń ma maluśkie ocka, a Pamuła mają przecie ślipia, jak łujkowa kobyła, i ze słoń gra na trąbie, a Pamuła trąby ni mają, a jak grają, to na kielisku u Mośka.

— Ej, boś ty jesce żgac — ja mu na to — i nie rozumies wyzsej nauki. Ale rzeknij no, co wam jesce więcej profesur pada?

— Ale, bo widzis, co ja wiem, to wiem. I to wiem, ze profesur nic nie wie. Jednego razu naprzykład powiada nam, ze wiadoma rzec, jako Pan Bóg stworzył człowieka z gliny. A mnie się widzi, ze to nieprawda. Bo jakby był Pan Bóg stworzył człowieka z gliny, toby go był i wypalił w piecu jakiemś, jak się wypala garcki, albo inksą cegłę. A przecie człowiek zaden nie jest wypalony i choćbyś go tłukł, to się, jak garcek nie roztłuce. Mnie się widzi, ze Pan Bóg ulepił człowieka z wieprzowiny i latego jesce i dziś niejeden drugiemu powiada: Ty świnio! A zreśtą cy to na przykład mało ludzi na kuzdem kroku po świńsku sobie postępuje. A jakby byli z cego inksego stworzeni, toby do zadnego świństwa nie mieli pociągu.

— Moze i mas słusność — ja na to. Wiadomo przecie, ze tyle świń w ludzkiem ciele na świecie, bezcoby więc nie mieli brać swego początku od świni?

— A widzis! Abo i ten nas jegomość, to przecie nie taki znowu ucony człowiek, jak się wydają. Po łacinie umią, po miemiecku pewnikiem umią, a moze i po frajcusku „uj, uj!" potrafią, ale spytaj się ich po katolicku o jaką rzec, to takoj nie wiedzą. W tamtą sobotę opowiadali nam, jak to Poniezus cały świat za grzychy potopem pokarał, a ino jednego Noego z rodziną ocalił. Aby Noe po potopie miał cem orać, co doić i od cego z jajek jajeśnicę se robić, kazał sobie mu po parze wszyćkich zwierzątek do arki zabrać. Noe usłuchał i wziął wszyćkich zwierząt po parze. Reśta wszyćka się do cna potopiła. Dotąd jegomość mieli słusność, bo tak pewnikiem było, kiedy tak o tem starsy testament powiada. Ale ja się ich pytam: „Prosę księdza kanonika, a co się stało z rybami w casie potopu? Cy się takze potopiły?" A jegomość mi powiadają: „Nie bądź Wojtuś taki mądry, bo się długo nie uchowas!" Po tem ich powiedzeniu zacąłem zachodzić w głowę: albo jegomość nie wiedzieli, co się z rybami stało, albo wiedzieli, ale ino la siebie, a nie la nas. Po drugie, jezeli się nikt mądry długo na świecie nie uchowa, toby znacyło, ze nima mądrych ludzi na świecie. I ani wójt nie mądry, ani ja nie mądry, aniś ty nie mądry, ani nawet profesur nie mądry. A jezeli my wszyscy nie mądrzy, to poco głupi głupiego ma ucyć, kiedy sam nic nie umie.

Kocham...



Kocham was ciche gaje, i sosnowe bory,
Pacierz szepczące w przejrzyste wieczory,
I ciebie błękitny, zadumany stawie,
W łąk szmaragdowych, kwiecistej oprawie,
Zarosły trzciną i kępami łozy,
Gdzie skrzą się łątek, w dzień słoneczny roje,
I was wzdłuż drogi smukłe, srebrne brzozy,
Boście wy moje.

Kocham cię kościółku modrzewiowy, stary,
I cmentarzyku, gdzie drżą ptasząt gwary,
Piaszczyste drogi długie, monotonne,
A wzdłuż nich gryki i łubiny wonne,
I pola złote, pełnemi kłosami szumiące,
A w nich chabry, maki, kąkole, powoje,
I was piosenki skowronka dzwoniące.
Boście wy moje.

Kocham was strzechy słomiane i chaty,
I krzewy bzowe i w ogródkach kwiaty,
I was niskie płoty, głębokie studnie,
U których ryczy bydełko w południe,
Pagórki, ścieżki i leśne polanki,
I ciężkie orzących rolę, rolników znoje,
Przydrożne krzyże, strojne w zeschłe wianki,
Boście wy moje.

Jan Liwosz.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Egipt III.

To, co u nas niszczy, druzgoce, zamienia urodzajne pola w bezużyteczne przestrzenie, a wioski całe burzy i w kupy gruzów kładzie, w Egipcie jest błogosławieństwem i zjawiskiem przez wszystkich oczekiwanem. Jest to wylew Nilu. U nas, jeżeli wylew rzeki niespodziewanie następuje, wita go rozpaczliwe załamywanie rąk, płacz kobiet, szloch dzieci i rozpacz bezdenna. Przeciwnie w Egipcie: Wylewu oczekują tam z utęsknieniem, a gdy zauważą pierwsze jego objawy, witają je krzykami wesela, wyrazami radości. Bo gdyby nie te wylewy, Nil stałby się jedną olbrzymią pustynią, niezdolną wyżywić ani garstki ludzi. Może ocalałyby niektóre wyspy, znajdujące się na Nilu, jak El Heif, El Sag lub File, które mogłyby rozprowadzać wody rzeki po swem terytorjum.



Ogólny widok wyspy File.

Systematyczni Anglicy, opanowawszy Egipt, postanowili i Nil doprowadzić do jakiegoś porządku, podciągnąć go pod strychulec przepisów i paragrafów. W tym celu przystąpili do budowy olbrzymich tam, któreby regulowały i powstrzymywały dowolne wylewy Nilu. Chcieli oni doprowadzić do tego, aby wylewy Nilu następowały wtedy, kiedy oni zapragną i żeby wody jego docierały tam, gdzie oni im rozkażą. Ale Nil okazał się nieposłuszny. — Płynął sobie i wylewał, kiedy jeszcze Anglików w Egipcie nie było, płynął i wylewał, kiedy oni tam przyszli, płynął i wylewał będzie, kiedy z nich ani śladu w Egipcie nie pozostanie. Bo rzece tej Bóg cel i zadanie wyznaczył, a woli Bożej nikt zwalczyć nie zdoła.

Na naszych obrazkach mamy dwa widoczki z nad Nilu; na pierwszym wyspę Filę, powyżej tamy w Assuan, a na drugiej tamę w Assuan, wybudowaną przez Anglików, pragnących regulować wylewy Nilu.

Na szczęście, jak zaznaczyliśmy, przedsięwzięcie inżynierów angielskich nie udało się, bo gdyby się było udało, to pozbawiliby oni byli tę krainę jednej z największych piękności, bo powodzi egipskiej z żadną inną pięknością porównać nie podobna. Nie jest ona nieoczekiwana i złowroga, burzliwa i burząca, niema ludzkiej rozpaczy, ni biedy w swym orszaku, szum jej nie łączy się w mimowolny akord z płaczem kobiet i lamentem dziecięcym. Owszem, jest pożądana i upragniona, spokojna i pogodna, jak samo błogosławieństwo Boże.



Tama w Assuan.

Assuan, o którem wspomnieliśmy powyżej, jest to małe miasteczko, położone po prawym brzegu Nilu w górnym jego biegu, gdzie Nil z hukiem spada po granitowych progach, położone w uroczej okolicy. Tu Nil rozdziela się na ramiona i tworzy wspomniane wyżej wyspy El Heif El Sag i File, które wyglądają jak prawdziwe ogrody wśród rzeki. Znajdują się tam ruiny i zabytki egipskię, rzymskie i arabskie, jako pamiątki świetnej a minionej przeszłości Egiptu. Na wyspie El Sag znaj-

duje się studnia, do której promienie słońca w czasie przesilenia letniego, a więc z końcem czerwca, padają prostopadle.

Assuan, jako położone na rozstaju dwóch światów, doliny egipskiej Nilu i górzystej krainy katarakt, stało się z natury portem, do którego odbywała się żegluga, a skąd w dalszą drogę trzeba było wybierać się przy pomocy wielbłądów, aby ominąć katarakty Nilu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Hrabina powiadomiła go o stanie swojej córki, a jego ukochanej. Według jej słów — chora nie miała siły podnieść już rąk. Oczy jej słabo widziały, a słowa szeptem wychodziły z ust. Rozpłakała się przytem, tracąc wogóle nadzieję uleczenia córki.

— Panie Stachu — błagała go z rozpaczą, — ratuj ją pan, o ile rzeczywiście można jeszcze ratować. Ja dużo widzę i dużo rozumiem, zapewniam jednak pana, iż z chwilą przyjścia do zdrowia ukochanego dziecka nie będę się niczemu sprzeciwiała.

— O tem nie mówmy dzisiaj, droga pani. Mnie niemniej zależy na życiu hrabianki. Mam jednak mimo wszystko nadzieję, iż ją uratuję.

Rozmowa z hrabiną napędziła mu jednak niepokoju. Lękał się, czy wogóle następnego dnia hrabianka powróci do codziennego życia. Chociaż gnębiły go czarne myśli, spał twardo, gdyż był bardzo utrudzony. Śniły mu się jakieś okrutne zjawy, które wyłaziły ze wszystkich kątów mieszkania, a zbliżając się do niego z wytrzeszczonemi oczyma, zdawały się go przerażać. To znów widział duszę swojej Marty, błądzącą w zaświatach, która spoglądając na niego, wołała: „Stachu, ratuj mię".

Nic też dziwnego, że sen ów nie dał mu należytego wypoczynku.

Zbudził się koło godziny dziesiątej z silnym szumem w głowie, ociężały, przemęczony i udręczony. A witało go przecież radosne lipcowe słońce. Zalewało obficie złotemi promieniami sypialnię i zdawało się być zwiastunem radości. Zażył lekarstwa na uspokojenie nerwów i ubrawszy się, nie czekając śniadania, podążył do pokoju chorej. Z niepokojem patrzał na nią.

Na szczęście siedem minut przed jedenastą obudziła się.

— Jak tu dziwnie jasno — były jej pierwsze słowa, wypowiedziane szeptem. Widzę jakąś postać u nóg, mówiła dalej, nie rozeznając osoby.

Prawdę więc hrabina mówiła, przyszło mu na myśl. Chora rozeznaje zaledwie kontury — jaśniejsze i ciemniejsze plamy.

Chociaż serce popychało go ku niej, to jednak obowiązek lekarski wstrzymał na miejscu.

— Czy pan Stach już przyjechał? — usłyszał dalsze pytanie.

Rozczulił go ten niepowszedni dowód pamięci.

— Mając nawet bielmo śmierci na oczach, o mnie myśli — szepnął do siebie.

— Dlaczegoż nikt do mnie nie zbliża się i nie odpowiada na pytania? — niecierpliwiła się.

— Już idę — rzekł półgłosem, chcąc zbadać siłę słuchu.

— Nie zrozumiała go i nie rozeznała głosu, prosząc o powtórzenie zdania.

Zaniepokojony do najwyższego stopnia jej stanem począł powoli posuwać się w stronę jej głowy. Badał, jak daleki ma zasięg wzroku.

Zauważył wielki wysiłek coraz bardziej rozszerzających się oczu, a równocześnie rodzącą się na obliczu radość.

Na dwa kroki poznała go. Usiłowała podnieść ręce, ale bez skutku. Zaledwie w przegubach wzniosły się cośkolwiek. Zrozumiał, że pragnęła je wyciągnąć do niego i objąć za szyję. Przypadłszy przed łóżkiem na kolana, ujął jej ręce, ucałował z tkliwością. Wsparł następnie na swoich ramionach i podtrzymał, widząc, że leciały bezwładne.

— To ty Stachu? — to ty Stachu? — szeptała z uczuciem. Czemuś mi zaraz nie powiedział, że stoisz u moich nóg? Ja już nie dojrzę na taką odległość — żaliła się, rozpaczliwie wypowiadając zwolna słowa. Zwątpiłam, czy będę cię mogła zobaczyć przed śmiercią. Już nie wierzę w swoje wyzdrowienie. Siły moje uciekają — przeraźliwie szybko uciekają.

— Stachu mój Stachu — mówiła, nie dając mu przyjść do słowa, jakby się obawiała, że zabraknie jej czasu na wypowiedzenie tego, o czem myślała. Już tu szczęścia nie zaznamy. Gdzieindziej się spotkamy.

Łzy go dławiły. Całując blade, o bardzo niskiej temperaturze ręce, zapewniał:

— Marto, dzisiaj skończy się twoje cierpienie...

Dalsze słowa przerwało wejście hrabiny. Aby usprawiedliwić pozę, udał badanie.

— Jak pan Martę znajduje? — zapytała szeptem, nie chcąc, by chora słyszała.

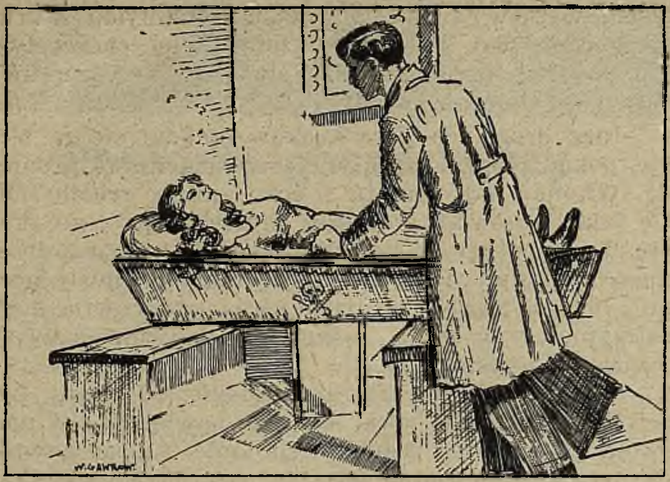
— W bardzo złym stanie — odrzekł podobnie cicho. Życie coraz gwałtowniej ucieka. Muszę się pośpieszyć z zamierzoną operacją. Proszę pozostać przy córce i nie rozpaczać. Ja natychmiast idę do pokoju lekarskiego.

Przebiegł szybko korytarz i zamknął się z topielicą. Nie chciał nikogo dopuścić do tajemnicy. Ubrał się następnie w biały fartuch i zabrał się do oderwania wieka dębowej trumny. Podniósłszy je odskoczył. Trup uśmiechał się drwiąco. Jakby chciał powiedzieć, że próżne były jego wysiłki. Przygotował potrzebne narzędzia i obnażył ją. Zaobserwował, że rany zadane przy sekcji — zagoiły się zupełnie. Pozostały jedynie blizny. Po nich podążył drugi raz nóż operacyjny. Otworzywszy ciało, przeciął tętnicę wiodącą do blizny w miejscu, gdzie się rozgałęziała na dziesiątki drobnych żyłek. Związał następnie tak tętnicę jak i wachlarz żył — zadane rany zaszył.

Dokonawszy dzieła — odetchnął. Był przekonany, że ukochana została uratowaną.

— Nie będziesz ty więcej wyczerpywała jej sił — szepnął do siebie, patrząc na trupa, który w dalszym ciągu uśmiechał się drwiąco. Okrutniej jednak, niż początkowo uśmiech jego wyglądał. Twarz topielicy poczynała gwałtownie sinieć. Przy ubieraniu przekonał się, że ciało niezwykle zwolniało

i cuchnęło. Pośpiesznie zabił wieko trumny — zatarł ślady operacji i podążył do chorej, by obserwować spodziewaną i szybką poprawę zdrowia.



...I zabrał się do oderwania wieka trumny.

Wszedłszy do pokoju — przeraził się. Panował tam zamęt. Hrabina klęczała u łóżka i rozpaczliwym głosem przyzywała córkę do życia, hrabia stał u wezgłowia i przecierał oczy, które ciągle zapełniały łzy.

Zobaczywszy Brutańka, hrabina wyrzekła „Marta umiera“, a następnie poczęła mu robić wymówki, że miast wyleczyć, przyśpieszył jej zgon.

Hrabia uspokoił żonę, a potem objaśnił Bratanka, jakie zmiany zaszły w czasie jego nieobecności. Mianowicie w pół godziny po opuszczeniu przez niego pokoju — ciało chorej poczęło się gwałtownie prężyć, jakby nabierało mocy. Ręce, zupełnie dotąd bezwładne, zerwały się i uchwyciły lewą pierś. Z ust jej wydarł się przeraźliwy okrzyk bólu. Skoczyliśmy z ratunkiem, pytając o powód jęku. Nie była w stanie odpowiedzieć. Bez przerwy szarpała ciało. Oczy wyszły jej na wierzch. Za kilkanaście minut poczęła się uspakajać. Opadła na nowo ze sił, jedynie od czasu do czasu wstrząsały nią dreszcze. Odnieśliśmy wrażenie, że zamierała. Na nasze pytania nie odpowiedziała. Nie słyszy, nie zdaje sobie z niczego sprawy. Oczy ma zamknięte — tak się przedstawia obecny jej stan. Najprawdopodobniej za kilka chwil opuści nas zupełnie. Ja już nie widzę ratunku.

Po tych słowach odwrócił się. Krył łzy cisnące się do ócz.

Brutanek przeprosił hrabinę i sam zajął jej miejsce. Przytknął ucho do piersi chorej i wsłuchał się. Serce jeszcze stukało i płuca funkcjonowały. — Zamierała jednak i mogła żyć najwyżej dwie godziny. Wyczerpywanie sił, dotąd powoli postępujące — zwiększyło się dziesięciokrotnie.

W jednej chwili zrozumiał, że popełnił straszny błąd. Miast zniszczyć stację nadawczą — pozbył się odbiorczej.

— Gdzież miałem głowę? kiedy obmyślałem ratunek? — szeptał do siebie, stukając się boleśnie w czoło. Gdybym przerwał stację nadawczą — odbiorcza nie miałaby co przyjmować. Tymczasem chora w dalszym ciągu wysyła życie, czy siłodajne promienie, których niema kto odbierać. Rozpraszają się na wszystkie strony i to ją tak strasznie i gwałtownie wycieńczyło.

Cierpienia, odczuwane przez nią w czasie operowania topielicy wytłumaczył sobie łatwo. Złączone ciałem astralnem — miały jedno czucie. Zresztą podobne objawy i przedtem u niej występowały.

Kazał natychmiast przynieść nosze. Hrabiankę ułożono na nich i przeniesiono do pokoju lekarskiego. Poprosił następnie lekarza zamkowego i pielęgniarki do pomocy. Zamierającą umieścił na stole operacyjnym i przygotował szybko potrzebne narzędzia. Lekarzowi Lassonyi w krótkich zdaniach wytłómaczył, jaką zamierza przeprowadzić operację i już zabierał się do cięcia. Spotkał się jednak z jego niespodziewanym oporem. Wstrzymując rękę Brutanka próbował go przekonać, iż taki zabieg równa się śmierci. Tętnic sercowych nie można bezkarnie przecinać — upierał się.

— Nie wiele na tem stracimy — odrzekł szorstko, niemal brutalnie odtrącając rękę. Chora tak, czy tak w najbliższych minutach zamrze. Ja widzę w operacji ostatni ratunek.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Strach na Łysej Górze.

Mieszkańcy wsi Koziedołki od pewnego czasu żyli w wielkim strachu i niepokoju. Oto przed kilkoma dniami poza wsią na Łysej Górze na jednej starej lipie niewiadomo z jakiego powodu rozkwaterował się jakiś nieczysty duch, czy belzebub, który był wielkim strachem dla mieszkańców Kozichdołków. Strach ów, jak w dzień był spokojny, tak z nadejściem nocy wyprawiał różne swoje paskudne harce, które słychać było aż do Kozichdołków. Szemarali też zcicha ludziska po wsi, że należałoby to paskudztwo ode wsi odpędzić, ale nikt nie miał na to odwagi. Zaś ów belzebub począł się coraz bardziej srożyć, tak, że każdy człowiek, idąc nocą przez Łysą Górę, zmuszony był słuchać różnych stękań, zgrzytań, śmiechów i tym podobnych strachów, od których włosy na głowie stawały.

I byłby się może na całą wieś rozwielmożnił, gdyby nie szczęśliwy traf. Oto pewnego dnia sołtys wsi Koziedołki wyprawiał u siebie libację z okazji nowych wyborów, przy których został powtórnie wybrany na sołtysa. Na swą libację pospraszał radnych z Koziedołków, nie pominąwszy też swego kuma organisty z Capanowa. Więc gdy się już poschodzili, sołtys postawił na stole gąsiorek okowity, sołtysowa koszyk z pierogami i tak się libacja rozpoczęła. Poszła najprzód kolejka za zdrowie sołtysa, potem sołtysowej wreszcie i pana organisty, aż się zakurzyło ze łbów miłych gości. A co było krzyków, harmideru, wesołych śmiechów, przytupywań i rozgwarów, tego niespisać na wołowej skórze.

Pan organista, ubawiwszy się dowolnie, wspomniał sobie, że droga jego prowadzi przez Łysą Górę, a na lipie czekać będzie na niego paskudztwo. Począł się żegnać z kompanją i choć mu inni mówili, że do osób duchownych, do których on należy, żadne

złe nie ma prawa, że przecież zna wyrazy łaciny, których się belzebub boi, jak święconej wody, nie dał się zatrzymać, lecz pożegnawszy się, ruszył drogą ku Łysej Górze.

Podniecony sołtysową okowitą szedł żwawo przez Łysą Górę i byłby przeszedł spokojnie, gdy nagle owo paskudztwo, nie zważając na jego osobę, rozpoczęło straszne stękanie, od którego panu organiście krew w żyłach zmroziło, nie myśląc więc używać łaciny, zawrócił ku wsi a po chwilce wpadł, jak bomba, do sołtysa, nie mogąc słowa wydobyć.

Odetchnąwszy z pierwszego wzruszenia, począł opowiadać o swej przygodzie, obecni zaś słuchali go z zapartym oddechem. Gdy kończył opowiadanie, poczęli wspólnie radzić, jakby się owego paskudztwa ze wsi pozbyć. Rada w radę uradzili, ażeby wybrać dwóch odważnych chłopów, którzyby się w coś uzbroili i stracha odpędzili, następnie drzewo skropili święconą wodą, aby z powrotem na niem owe paskudztwo usiąść nie mogło.

Wieść o przypadku pana organisty, choć to było w nocy, przeleciała, jak błyskawica, przez Koziedołki i urosła do niesłychanych rozmiarów. Toteż w kilka pacierzy cała wieś stała koło domu sołtysa, rozprawiając o owym strachu. Tymczasem sołtys z radnymi uradził wysłać na Łysą Górę dwóch chłopów, to jest Filipa Sikorę i Wawrzka Biedronia. Pierwszy, posłyszawszy, że o nim mowa, aż pobladł ze strachu a i Wawrzkowi nie było do paskudztwa pilno, lecz ich wnet Magda Dyrdzionka z tego wyzwoliła, puściwszy swój język na ostatni bieg.

— Cożeście się tak uczepili Filipa, jak rzep psiego ogona, cy to jeno oni z Wawrzkiem we wsi siedzą?

— A juźci — ozwała się Wawrzkowa Bronka — onychby wysyłali na Łysą Górę, a sami ze swoją pod pierzynę, wy zaś nastawiajcie łbów za całą wieś. Nigdzie mi nie pójdzies — rzekła do Wawrzka — niech idą wszyscy, to ja sama pójde. Nie tak, zeby jeden lezał, jak u Pana Boga za piecem, a ty się tam idź bij z djabliwem po Łysej Górze.

Tak pierwsza rada spaliła się na panewce.

— A pewno, że lepiej — odzywały się głosy. — W gromadzie większa siła i odwaga; lepiej będzie pójść gromadą.

Więc uzbroiwszy się w cepy, widły, osęki i pałki, uszykowano pochód na drodze przed sołtysem. Sołtys, opatrzywszy, czy wszystko jest w porządku: krzyż, kropidło, święcona woda, nareszcie wyszedł na czoło gromady i wskazawszy kierunek poprowadził ich przez Koziedołki. Przeszedłszy przez wieś ku Łysej Górze panu organiście stanęła na myśli przebyta przed chwilą konfuzja, więc nie miał ochoty podchodzić blisko. Wolałby teraz pozostać w rezerwie, szepnął więc sołtysowi, by się zatrzymał z gromadą i jeszcze raz się naradził, nim się prawdziwy szturm rozpocznie. Więc gdy stanęli, znów wystąpił z projektem.

— Ja radzę, żeby jeden z nas poszedł na zwiady, co tam teraz ów belzebub robi. Gdyby go nie było, tobyśmy podeszli, skropili drzewo, ażeby się tu już nie wróciło to paskudztwo, bo mi się miękko robi, Panie święty, na samo wspomnienie.

Gromadzie ten projekt nie bardzo się udał, gdyż niżt nie miał ochoty wtykać nosa w djabelskie przeszpiegi. Pan organista widząc jednak, że tak nic nie wskóra, wpadł na dobry pomysł ciągnięcia losów, naco się zgodzili. Tu pan organista wyjął notatnik, narobił tyle kartek, ilu było chłopów; na jednej napisał (zwiady) i wrzucił do czapki, poczem rozpoczęto losowanie. Pierwszy począł ciągnąć sołtys chcąc zachęcić do losów gromadę, lecz się zaraz skończyło, bo los obdarzył sołtysa, któryby wolał był swój urząd utracić, niż popaść w takie tarapaty. Ale los losem, wymowy niema ,ani czasu do namysłu. Z drugiej strony bał się sołtys, ażeby go o tchórzostwo nie posądzili, przeżegnawszy się więc krzyżem św., ruszył ku lipie na zwiady.

Idąc drogą, co parę kroków oglądał się za siebie, pokąd mógł dojrzeć w ciemnościach swą gromadę. Wkońcu, gdy mu ta z oczu znikła, zrobiło mu się jakoś nieswojo i dreszcz przeszedł po jego skórze. Teraz począł iść pocichu, ostrożnie a usta z drżeniem szeptały: „Jego nie zmoże czart, ni mocy nocne". Słyszał każde puknięcie serca i co chwila dech zatrzymował w sobie, nasłuchując, czy nie dosłyszy jakiego nieczystego głosu.

Wtem, jakby na skaranie Boskie, od strony Łysej Góry posłyszał jakiś szum w powietrzu tuż nad swoją głową, oraz rożne chichotanie. Chciał nawrócić, lecz mu nogi odmówiły posłuszeństwa i stał skamieniały. Wtem na pobliskiej wierzbie znów się ozwało tosamo chichotanie. Sołtys, zebrawszy wszystkie siły, począł biec ku gromadzie, rycząc, jak raniony niedźwiedź: — Ratujcie, kto słyszy.

W gromadzie, dosłyszawszy wołanie sołtysa, pewni byli, że sołtysa licho już ucapiło. Zrobił się nieopisany popłoch. Rzuciwszy się ku wsi, pędzili jeden przez drugiego ,a na ich karkach siedział sołtys, który im się wydawał groźniejszy nad czambuł Tatarów. I w dwa pacierze znów stali zziajani przy chałpie sołtysa, obcierając pot z czoła ,a po Kozidołkach słychać było przeciągłe wycie pobudzonych psów.

Po owem zajściu do rana nikt oka nie zmrużył, a z nadejściem dnia pan organista poszedł do Capanowa opowiedzieć o strachu i zajściu ks. proboszczowi. Proboszcz słuchając, uśmiechał się dobrodusznie, a po wysłuchaniu przyobiecał, że się zajmie wypędzeniem stracha. Jakoteż około południa gajowy pobliskiego lasu trzymał przed sobą na sznurku owego stracha, którego wydostał z dziupła owej lipy, zaś ks. proboszcz, śmiejąc się, mówił:

— No już droga wolna przez Łysą Górę! Oto mamy stracha, który wam tej nocy nie dał spać.

Ludzie, widząc ogromnego puhacza, przyglądali się z niedowierzaniem, gdyż im się ten strach, o którym mówiono, przedstawiał dziesięć razy większy, niż ten, którego teraz widzą. Dopiero, gdy się przekonali, że ks. proboszcz prawdę mówi, ochłódli ze strachu i chodzili bez przeszkód przez Łysą Górę z Kozichdołków do Capanowa.

Franciszek Bigaj.



Powitanie wiosny.

Witaj wiosenko — królowo słońca
jasnych błękitów, chmurek srebrzystych,
co płyną, niby rzesza marząca
owieczek sennych, do sfer wieczystych.
Witaj królowo kwiatów tęczowych,
zielonych trawek, drzew, krzów i ziółek,
łąk rozkwieconych, łanów zbożowych,
skowronków śpiewnych, gwarnych jaskółek.
Witaj królowo kwitnących sadów,
pól szmaragdowych, borów i gajów,
motyli krasnych, brzęcznych owadów
i tych szemrzących strug i ruczajów.
Witaj i upieść nas już wieczyście
szmerem zefirków, pieśnią słowików;
rosą i deszczem karm kwiatki, liście
i światu nie skąp słońca promyków!

Jan Liwosz.



Poradnik gospodarczy.

Kwiaty w ogródkach.

Posiadając własny kawałek ziemi koło domu znajdziemy zawsze miejsca poddostatkiem na zasadzenie kwitnących krzewów. Ogrodzenia, płoty, ściany brzydszych użytkowych budynków nadają się przedewszystkiem do obsadzenia ich krzewami. Zasłaniając to, co mniej jest dla oka przyjemne, zyskujemy zieloność ładną w tych miejscach i na wiosnę pachnące przemiłe kwiaty bzów, jaśminów, i wysoko rosnących róż, cukrowemi zwanych. Te ostatnie poleca się ze względów praktycznych.

Kwiat niebardzo świetnej czerwoności, zapach ma nadzwyczaj silny, a płatki kwiatowe używają się albo do smażenia na konfitury i sok, lub utarte z cukrem są doskonałym, bardzo aromatycznym dodatkiem do marmelad owocowych.

Co do kwiatów wogóle, to wybór ich jest tak bogaty, że zawsze od najdroższych do najtańszych, ilość potrzebną dostać można zależnie od upodobania i środków.

Osobom, posiadającym mało czasu na zajmowanie się hodowlą kwiatów, doradzamy sadzenie blisko domu kwiatów trwałych, kilkoletnich, które oprócz przesadzania od czasu do czasu, żadnych specjalnych starań, podlewania ciągłego i t. p. nie potrzebują. Takimi są wcześnie kwitnące narcyzy białe i żółte, tulipany, irysy, świetne złoto-żółte wysokie redbekje, różnobarwne wieloletnie floksy, astry drobne wiecznotrwałe, goździki tureckiemi zwane, drobniutkie bukietowe, lilje białe i dużo innych, dobrze zimujących roślin kwitnących.

Do rzędu kwiatów trwałych zaliczamy malwy. Wsiane jednego roku na wiosnę na miejscu, gdzie mieć je chcemy, rozrastają się ładnie, przezimowują pomyślnie i w następnym roku kwitną przez całe lato i jesień aż do mrozów. Wysiewają się same, tak, że nie troszcząc się o nie, można je mieć przez szereg lat na tem samem miejscu. Wyrastają wysoko, więc odpowiednie są do zasiewania nie na grządkach, a naprzykład między krzewami. Na tem tle specjalnie ładnie wyglądają.

Dobre zastosowanie mają tu georginje, sadzone kłączami na wiosnę. Jesienią przed mrozami wykopać je należy i przechować w piwnicy suchej, a stale już te piękne kwiaty będzie się miało co roku.

Ogródek kwiatowy, w którym jednoroczne przeważnie hodujemy kwiaty, umieszczamy zawsze możliwie blisko domu, aby z mieszkania, przez okno patrząc móc się cieszyć widokiem kwiatów i zapachem ich lubować. Znane tak bardzo wśród kwiatów pachnących: rezeda, groszek nie zastąpią nikłego na wygląd, drobnego kwiatka matjoli, który wsiany gęsto pod domem już od południa i wieczorem pełno ślicznego zapachu mocnego roznosi na dużą przestrzeń.

Petunja, nasturcja, mizabilis zwana nocną ozdobą, bo w przeróżnych kolorach kieliszki swoje pod wieczór dopiero otwiera, goździki, a wreszcie piękne ogniste barwą pospolite nagietki już na ładny kwietniczek się złożą.

Wogóle gatunków i odmian kwiatowych istnieje mnóstwo. Podajemy tylko niektóre, bardzo zresztą nieliczne, dla najmniejszych nawet ogrodów dostępne i w hodowaniu najprostsze.

Użyteczną i dobrą pomocą w zajęciach w ogrodzie mogą być dzieci. Zazwyczaj dzieci lubią kwiaty. Niezdolne jeszcze i zamało silne do prac cięższych, w ogródku kwiatowym pod kierunkiem starszej osoby krzątać się będą z ochotą. Da im to oprócz zdrowego zajęcia przygotowanie pewne do porządnej, obowiązkowej pamiętliwości, oswajanie się z tem co piękne i zżywanie się z tem pięknem jako konieczną potrzebą życiową.

Uprawa cebuli.

Cebula należy do warzyw bardzo poszukiwanych na rynku i opłacalnych. Do tej pory zamało się jej u nas uprawia, tak że dość duże ilości sprowadzamy rok rocznie z zagranicy. Dobrze byłoby, żeby zaczęto i na wsi uprawiać cebulę na większą skalę, a o nabywców nie będzie trudno.

Z odmian, jakie należałoby uprawiać na większą skalę, jest tylko jedna, najbardziej poszukiwana w handlu i najtrwalsza w przechowaniu — cebula żytawska.

Cebula wymaga gleby lekkiej, przepuszczalnej, a zarazem bardzo żyznej. Udaje się więc na czarnoziemach, na lekkich, piaszczystych glinkach i madach czyli na glebach powstałych z zamułu rzecznego.

Na glebach ciężkich, nieprzepuszczalnych, a więc kwaśnych i zimnych, jak ciężkie gliny, iły itp. cebula nie uda się napewno.

Niezależnie od rodzaju, każdą glebę mniej lub więcej żyzną, należy przed uprawą cebuli zasilić nawozami naturalnemi, jak obornikiem końskim lub kompostem, oraz nawozami sztucznemi.

Świeżego nawozu cebula nie znosi, tak, że nawożenie na wiosnę jest bardzo ryzykowne. Jeśli już konieczność zmusza do uprawy cebuli na kawałku ziemi nie nawiezionej jesienią, to lepiej będzie jeśli się nie da wcale nawozów naturalnych lub tylko trochę dobrze przetrawionego inspektowego lub kompostu, a resztę uzupełni się nawozami pomocniczemi.

Z nawozów sztucznych cebula najlepiej lubi potas, który należy dać na wiosnę, lub kainit, ale stosowany bezwarunkowo na jesieni.

Cebulę uprawia się w następujący sposób: z siewu wprost w grunt z rozsady i z dymki, t. j. drobnych cebulek. Cała późniejsza pielęgnacja polega na częstem pieleniu i wzruszaniu ziemi.

Normalnie w końcu sierpnia szczypiór powinien przyschnąć, wówczas przystępuje się do zbioru cebuli. Wyrwaną, układa się na kupki na polu, aby trochę przeschła, później przenosi na strych i rozsypuje cienką warstwą. Po przebraniu cebuli, składa się ją grubszą warstwą i przykrywa matami na zimę. Najlepszą porą sprzedaży jest koniec zimy i początek wiosny.

RADY PRAKTYCZNE.

Czyszczenie luster. Luster nie należy wystawiać na działanie promieni słonecznych, gdyż powodują one roztapianie się żywego srebra, przyczem lustro pokrywa się skazami i plamami. Najlepiej jest czyścić lustra czystym spirytusem, w którym macza się kawałki flaneli i wyciera niemi lustra do sucha.

KRONIKA.

Pogoda w czerwcu. Według przepowiedni astrologicznych w czerwcu po kilku pierwszych dniach pogodnych nastąpią dni pochmurne ze skłonnością do opadów. W drugiej dekadzie na dwoje babka wróżyła, a mianowicie astrologowie przepowiadają dni pochmurne z przelotnymi deszczami, a temperaturę chłodną. Ale nie musi tak być, gdyż równocześnie przepowiadają, że o ile Polska dostanie się w zasięg obszernego wyżu, zalegającego środkową Europę, nastąpi szereg pogodnych i upalnych dni. Więc może być tak i tak. W drugiej połowie dekady ogółem parno i burzliwie, gdzieniegdzie z większemi opadami, poczem ochłodzenie, ogółem wietrzno. Początek trzeciej dekady może jeszcze stać pod wpływem prądów polarno-morskich z poprzednich dni. Przelotne deszcze, miejscami z gradem, poczem nastąpi szybkie ocieplenie i rozpogodzenie. Ostatnie dni dekady przypuszczalnie przyniosą znów pogodę wybitnie niestałą lub zmienną przy wahaniach w temperaturze i zachmurzeniu. Okolicami ulewy. Ogółem pogodniej w kraju, zaś gorzej w okolicach nadmorskich. W górach niepogoda i mglisto.

Nowe srebrne dziesięciozłotówki. Wkrótce ma się ukazać rozporządzenie ministerstwa skarbu w sprawie wycofania z obiegu dziesięciozłotówek papierowych. Według tego rozporządzenia papierowe dziesięciozłotówki będą jeszcze kursowały jako środek płatniczy do końca bieżącego roku. Następnie do końca roku 1934 będą przyjmowane do wymiany w oddziałach Banku Polskiego i w kasach skarbowych. Na miejsce papierowych banknotów 10 złotowych mają być wprowadzone 10 złotowe monety srebrne.

Obicie dziennikarza. Od dłuższego czasu toczy się zacięty spór pomiędzy „Ilustrowanym Kurjarem Codziennym" a Wojciechem Korfantym, senatorem, wydawcą i redaktorem katowickiej „Polonji" i Adolfem Nowaczyńskim, współpracownikiem „Gazety Warszawskiej". W sporze tym jedna i druga strona zarzuca sobie wzajemnie najrozmaitsze czyny niehonorowe, a często nawet zbrodnicze. W ostatnich czasach spór ten po przegranym procesie przez Marjana Dąbrowskiego, naczelnego redaktora „Kurjera" przybrał na sile „Kurjer" wydrukował szereg bardzo ciężkich zarzutów przeciw swym antagonistom: Korfantemu i Nowaczyńskiemu. Widocznie z tego powodu syn Korfantego, Witold, akademik z III roku praw, przybył onegdaj do sali restauracyjnej Grand Hotelu w Krakowie, gdzie był obecny poseł Marjan Dąbrowski i uderzył tego ostatniego kilkakrotnie. Sprawą zajęła się policja, która wyświetli powody tego napadu.

Przywłaszczenie sobie cudzej żony. W Nowym Sączu toczył się ostatnio ciekawy proces o chęć przywłaszczenia sobie cudzej żony. Sprawa ta przedstawia się następująco: Na posterunku w Grybowie zgłosił się Zygmunt Sadowski z Łodzi i oznajmił, że niejaki Michał Segelbach wykradł mu z domu żonę i przebywa z nią w Grybowie. Policja wyszukała ową niewiastę i przyprowadziła ją na posterunek. Sadowski oświadczył jej w oczy, że jest jego żoną, którą mu wykradł Segelbach. Niewiasta owa jednak zaprzeczyła temu stanowczo. Oddano więc sprawę sądowi. Nazajutrz w sądzie Sadowski ponownie przed sędzią śledczym zeznał pod przysięgą, że niewiasta ta, która przebywa w Grybowie z Segelbachem, jest jego żoną Ponieważ kobieta dalej przeczyła, że nie jest i nie była nigdy żoną Sadowskiego, przeto policja postanowiła zbadać dokładnie, kto mówi prawdę, a kto kłamie. I cóż się okazało? Oto sprawdzono, że niewiasta owa była Aleksandra Luks, z którą jednak Sadowski nigdy ślubu nie brał, wskutek czego nie mogła być jego żoną. Wobec tego prokuratura oskarżyła Sadowskiego o krzywoprzysięstwo, w następstwie czego Sadowski stanął przed sądem i otrzymał za karę rok ciężkiego więzienia. Jaki jednak miał cel w twierdzeniu, że Luksówna jest jego żoną, nie dowiedział się ani sąd, ani nikt inny.

Trzy ofiary zemsty osobistej. W Rycerce Górnej w powiecie żywieckim gajowy dóbr żywieckich, Jan Biernat, strzelił z rewolweru do przechodzących gościńcem gajowych Tomasza Poconia i Stanisława Plucińskiego, kładąc ich trupem na miejscu. Następnie Biernat sam sobie życie odebrał. Powodem strasznej zbrodni była zemsta osobista.

Małżeństwo za pracę. Na dowcipny pomysł wpadł Salomon Gruenberg, właściciel fabryki nożyczek we Lwowie. Oto jeszcze w roku 1928 przyjął on do pracy Chanę Drattenberg, której powiedział, że nie będzie jej płacił żadnego wynagrodzenia. ale za pracę ożeni się z nią. Chana pracowała i czekała na przyobiecany ślub, a należności jej pieniężne wzrastały. Gdy kwota doszła już do 2.000 złotych, Gruenberg ostygł w swych zapałach miłosnych i obecnie nie chce się ani żenić, ani zarobku żydóweczce zapłacić. Zawiedziona w swych nadziejach Chana udała się pod opiekę policji, a ta skierowała sprawę do sądu. Zdaje się, że Salomon poślubi Chanę, bo przecież 2.000 piechotą nie chodzą.

Żonobójca. Na torze kolejowym, prowadzącym ze Stryja do Lwowa około 2 kilometry od stacji w Stryju znaleziono zwłoki kobiety, przejechanej przez pociąg. Władze śledcze stwierdziły, że zaszedł tu wypadek morderstwa i że kobietę ową zawleczono na szyny już po dokonaniu morderstwa. Energiczne dochodzenia ustaliły, że kobietą ową jest Marja Chyrowska z Dąbrowy koło Stryja, liczącą 36 lat. Sprowadzono męża jej Józefa, który początkowo przeczył winie. Jednak po przedstawieniu mu wyniku dochodzeń i strasznie zmasakrowanych zwłok denatki rozpłakał się i ze skruchą przyznał się, że zamordował swą żonę kamieniem, poczem trupa zawlókł na szyny celem upozorowania samobójstwa i zatarcia śladów zbrodni. Na miejscu zbrodni zebrała się większa ilość osób i gdyby nie ochrona policji, tłum byłby uśmiercił żonobójcę.

Oszalała kobieta i człowiek bez rąk. W Hłuboczku Wielkim koło Tarnopola popełniona została przerażająca zbrodnia. Zamieszkała tam 31-letnia Julja Pitakowa usiłowała w ohydny sposób zamordować siekierą swego męża, Jana, inwalidę bez rąk. Wieczorem Pitakowa, pozamykawszy drzwi i okna w mieszkaniu, usiadła na łóżku i poprosiła męża, aby zbliżył się do niej. Gdy ten usiadł obok żony, zbrodniarka wyciągnęła z nienacka z pod poduszki siekierę i ugodziła nią dwukrotnie męża w głowę. Pitak, zalany krwią, zerwał się i po bezskutecznej próbie ucieczki przez drzwi, których nie mógł otworzyć nogą, gdyż były zamknięte na klucz, chcąc ujść dalszych ciosów rozszalałej kobiety, biegającej za nim z siekierą w ręku, upadł na podłogę, kryjąc głowę pod łóżko. Wówczas Pitakowa zadała mu jeszcze dwa ciosy siekierą, poczem wybiegła z domu na posterunek policji, gdzie oświadczyła, że zabiła męża. Gdy w parę chwil potem przyprowadzono ją do mieszkania i gdy zbrodniarka spostrzegła, że mąż żyje, wyraziła żal, iż jeszcze nie umarł. Jak wykazały dochodzenia. Pitak stracił obie ręce na wojnie w 1920 r. Do roku 1927 przebywał we Lwowie w domu dla inwalidów i tam poznał swą żonę, która zgodziła się wyjść zamąż za niego. Małżeństwo nie było jednak szczęśliwe, ponieważ Pitakowa często odgrażała się mężowi, że go zabije. Powodem, jak opowiadali sąsiedzi, była zazdrość, albowiem Pitak mimo, iż nie miał rąk, miał wielkie powodzenie u kobiet.

Świętokradztwo. W Biłkowie nieznany sprawca włamał się do cerkwi i skradł ośm kielichów pozłacanych, dwa złote, trzy patyny złote i inne przedmioty. Po rozbiciu kasy skradł nadto 140 złotych.

Napad bandytów na plebanję. Na plebanję rzymsko-katolicką w Uścieczku napadło w nocy czterech zamaskowanych bandytów. Po steroryzowaniu służby wtargnęli do pokoju proboszcza, który, widząc niebezpieczeństwo, począł strzelać do napastników. Bandyci, nie spodziewając się widocznie takiego oporu, nic nie zabierając, zbiegli. Atoli z zemsty podpalili zabudowania gospodarcze, należące do plebanji. Ogień wkrótce ugaszono. a za bandytami zarządzono pościg.

Napędzenie sekciarzy. Do Uszni w powiecie złoczowskim przybył z Łodzi „apostoł" sekty badaczy pisma świętego Karol Śliwiński celem nawiązania kontaktu z tamtejszymi sekciarzami, których zwierzchnikiem jest niejaki Dumański. Gdy się o tem dowiedzieli mieszkańcy Uszni tak rzymsko-katoliccy jak i grecko-katoliccy, otoczyli dom Dumańskiego, w którym znajdował się Śliwiński i kamieniami wybili wszystkie szyby w oknach, zmuszając Śliwińskiego do ucieczki z Uszni.

Zbyt surowa kara. Od dłuższego czasu w hurtownych składach monopolu spirytusowego w Radomiu zatrudniony był w charakterze woźnicy niejaki Jan Markiewicz. Przez cały czas swej służby wywiązywał on się ze swych obowiązków bez zarzutu. Do obowiązków jego należało między innemi także i rozwożenie wódki drobnym odbiorcom. Onegdaj brakło Markiewiczowi jednej skrzynki wódki. Podczas rozrachunku twierdził, że skrzynkę tę dostawił jednemu z odbiorców, ale nie mógł sobie przypomnieć któremu. W rezultacie Dyrekcja monopolu wymówiła mu pracę. Zrozpaczony człowiek, posiadający na swem utrzymaniu sześcioro nieletnich dzieci, przejął się tem do tego stopnia, iż postanowił sobie odebrać życia. Pożegnawszy się z żoną i dziećmi, pod pretekstem załatwienia jakiegoś interesu wyszedł z domu i udał się na tor kolejowy. W czasie zbliżania się pociągu rzucił się pod jego koła i poniósł śmierć na miejscu. Koła pociągu zmasakrowały nieszczęśliwego zupełnie, odcinając mu głowę. I tak biedny człowiek, może zupełnie niewinnie, utracił nietylko pracę ale i życie.

Żywcem pogrzebany. Do wsi Olszowce w powiecie brzezińskim w b. Kongresówce po długiej nieobecności powrócił syn kolonisty 30 letni Hiske i objął po ojcu swoją posiadłość rolną. Ponieważ w czasie kilkuletniego pobytu w mieście na stanowisku urzędnika fabrycznego Hiske nabrał miejskiej kultury, po powrocie do wsi rodzinnej w stanie bezżennym stał się przedmiotem większego zainteresowania płci nadobnej, aniżeli inni kawalerowie w Olszowicach. Z pomiędzy flirtujących z nim młodych dziewcząt wpadła w oko Hiskemu narzeczona Mundka Jessego, niejaka Erna Milk. Nadobna dziewczyna, widząc, że młody Hiske ma również wobec niej poważne zamiary, zerwała z Jessem i zaręczyła się z Hiskem. Termin ślubu był już nawet wyznaczony na dzień 15 czerwca. Szczęście i spokój narzeczonych nie trwały jednak długo. Jesse, nie mogąc znieść zdrady narzeczonej, obmyślił plan krwawej zemsty. I rzeczywiście zemsta ta została zrealizowana w sposób wyrafinowany. Edmund Jesse, namówiwszy sobie czterech wspólników: Romana Milowa, Pawła Hilke, Rudolfa Hilke i Wilhelma Jagussa, uczynił na swą ofiarę zasadzkę. Gdy Rudolf Hiske po odprowadzeniu swej narzeczonej wracał drogą leśną do domu, napadli na niego z gęstwiny leśnej wspólnicy i prętami żelaznymi, kijami i pałką gumową poczęli bić nieszczęśliwą ofiarę w nieludzki sposób. Hiske, zalany krwią, zachwiał się i upadł na ziemię. Wówczas napastnicy przecięli mu żyły na rękach i pod kolanami, pokiereszowali mu twarz i szyję nożem, a następnie tak zmasakrowanego żywcem zakopali w lesie. Mogiłę przypadkowo wykryły dzieci. Policja aresztowała, jako podejrzanego, Jessego, który w ogniu krzyżowych pytań przyznał się do zbrodni i wydał swych wspólników. Zbrodniarze zostali aresztowani i odstawieni do więzienia w Piotrkowie, gdzie staną przed sądem doraźnym.

Marszałek Piłsudski ojcem chrzestnym. Marszałek Piłsudski został w ostatnim tygodniu dwukrotnie ojcem chrzestnym. W pierwszym wypadku trzymał do chrztu 10 letniego synka generała Sosnkowskiego z generałową Jadwigą Lipkowską. Chłopcu nadano imię Aleksander. Drugim jego chrześnikiem jest synek posła Polakiewicza, który otrzymał imię Adama. Matką chrzestną małego Adasia jest profesorowa Janina Sacharewiczowa z Wilna.

Przegrana żona. Powiada polskie przysłowie: „Nie graj Wojtek, nie przegrasz... kamizelki!" Nie wspomina jednak nic o przegraniu żony. A przecież i żony przegrywają. Taki jednak wypadek zdarzył się w powiecie łukowskim. Znany tamtejszy karciarz, Józef Wojtysiewicz, wciągnął do gry Zdzisława Wareckiego, który w czasie gry stale przegrywał. Po stracie całej gotówki Warecki postawił na kartę rower, a gdy go przegrał, postawił marynarkę, lecz i tę przegrał. Straciwszy wreszcie panowanie nad sobą, postawił na ostatnią kartę swoją żonę. I tym razem nie poszczęściło mu się. Gdy Wojtasiewicz powstał od stolika, żeby zabrać „wygraną" niewiastę i uprowadzić ją do domu, wówczas Warecki, zdenerwowany i podniecony niepowodzeniem, porwał się i rzucił się z nożem na szczęśliwego gracza, zadając mu kilka ran w piersi. Wojtasiewicz wkrótce zmarł. Warecki, korzystając z zamieszania, zbiegł w niewiadomym kierunku.

Zagadkowe zachowanie się bocianów. Z Wołynia donoszą o dziwnem zachowaniu się tamtejszych bocianów. Oto bociany tamtejsze po złożeniu jaj przerwały ich wysiadywanie i poczęły je wyrzucać z gniazd, które następnie opuściły, przenosząc się na łąki, jakgdyby szykowały się do odlotu. To niezwykłe zachowanie się bocianów zaniepokoiło miejscową ludność, która widzi w tem przepowiednię jakiejś klęski, mającej tamtejszą okolicę wkrótce nawiedzić.

Wyrodne małżeństwo. Policja powiatu wileńsko-trockiego aresztowała wyrodne małżeństwo Prystakowych pod zarzutem przyczynienia się do przedwczesnego zgonu 60 letniej Anastazji Prystakowej. Jak zdołano ustalić, stara Prystakowa, pozostawszy wdową, była na utrzymaniu swego syna Karola, który stale matkę maltretował i bił na spółkę z żoną. Gdy nieszczęśliwa staruszka poczęła się skarżyć sąsiadom, iż syn ją poniewiera, wyrodni małżonkowie postanowili matkę jak najprędzej zgładzić. Rozpoczęli swą niecną robotę od niedawania jej jadła. Trzymana bez pokarmu staruszka poczęła się uskarżać, lecz silnie pobita przez synową ciężko zaniemogła i po trzydniowej chorobie, podczas której pozbawiona była jakiejkolwiek opieki, zmarła z wycieńczenia. Na tej podstawie obydwoje wyrodnych małżonków aresztowano.

Dwudziestoletni morderca. 20 letni mieszkaniec zaścianka Sielec, nazwiskiem Narużyński, już od dłuższego czasu kochał 19-letnią Wojcilewiczównę, nawzajem przez nią kochany. Obydwoje młodzi ułożyli nawet dzień ślubu. Ale na przeszkodzie ich szczęściu stanął opiekun Wojcilewiczówny, Piotrowski, który kategorycznie oświadczył wychowance, iż nigdy nie zezwoli jej na poślubienie Narużyńskiego. Upór Piotrowskiego doprowadził młodego człowieka do rozpaczy. Pod jej wpły-

wem Narużyński zaczaił się w pobliżu domu Piotrowskiego i w chwili, kiedy ten wyszedł z mieszkania, zbliżył się do niego i wydobywszy rewolwer, strzelił doń dwukrotnie, kładąc go trupem na miejscu. Na odgłos strzałów wybiegła z domu Wójcilewiczówna. Wówczas zabójca skierował broń w jej stronę i oddał dalsze dwa strzały. Trafiona kulą w serce biedna dziewczyna padła trupem na miejscu. Po dokonaniu owego szaleńczego czynu nieszczęśliwy zabójca zbiegł w okoliczne lasy, w których dotąd się ukrywa.

Trup leśniczego w życie. Mieszkańcy cichej wioski Gregorsdorf w powiecie raciborskim na Górnym Śląsku zostali zaelektryzowani odkryciem strasznego mordu. W życie znaleziono zwłoki 26 letniego leśniczego Józefa Fiołki z Gregorsdorfu. Czaszka zamordowanego wykazywała ślady głębokich ran, zadanych tempem narzędziem, ponadto twarz i piersi zmasakrowane były do niepoznania. Silnie zdeptane żyto wskazuje na śmiertelną walkę, jaką zabity stoczył z napastnikami. Fiołka wyszedł wczesnym rankiem do lasu celem obserwacji za pewnym jeleniem, który się tam pojawił i wyrządzał liczne szkody nietylko w lesie, ale i w płodach rolnych. Jeden z gospodarzy podczas zwiedzania swej roli natknął się na psa leśniczego, który był nieomal doszczętnie porżnięty w kawałki. Zainteresowany tem odkryciem rolnik badał najbliższe otoczenie, przyczem w życie zauważył silnie wydeptany chodnik. Idąc za śladami, odkrył w niem zwłoki właściciela psa, w okrutny sposób zamordowanego. Fiołka toczył nieubłaganą walkę z kłusownikami, to też był powszechnie przez nich znienawidzony i prawdopodobnie padł ich ofiarą. Obok zwłok leżał jego karabin, złamany na dwie części.

Zabity beczką. Niezwykły wypadek zabójstwa przy pomocy beczki zdarzył się w Siedmiogrodzie, we wsi Mezömehes. Jeden z tamtejszych gospodarzy zgodził był do koszenia łąki dwóch braci Blenke. Ci jednak zwlekali z podjęciem roboty, mieli bowiem pieniądze i zapijali się. Zniecierpliwiony gospodarz zwrócił się o skoszenie łąki do innego kosiarza, Kerekesa.



Kerekes zabrał się czemprędzej do roboty, ukończył ją i prosto z roboty udał się do gospody. Tu napadli go obaj bracia Blenke. Jeden porwał za beczkę i ugodził nią Kerekesa w głowę, tak że ten padł na ziemię, zaś drugi zakłuł go nożem.

Tyfus w Rosji. W okolicach Izasławia w Rosji panuje epidemja tyfusu, który ogarnął już 40 wsi. Choruje około 12 tysięcy ludzi, z pośród których 110 już zmarło. Przyczyną epidemji jest złe odżywianie się ludzi i brak karmy dla zwierząt, albowiem w ostatnich miesiącach rząd sowiecki skonfiskował prawie wszystko zboże i siano celem wysyłki na Sybir.

Zjedzona przez mrówki. 83-letnia staruszka zbierała sobie chrust w lesie pod Passawą w Austrji. Zmęczona usiadła dla wypoczynku przez nieuwagę na mrowisku. Kiedy chciała już wstać, zrobiło jej się słabo. Dopiero wtedy zauważyła, że spoczywa na mrowisku. Starowina z przerażenia zemdlała. Po sześciu godzinach przechodził tamtędy gajowy i znalazł nieszczęśliwą, oblepioną tysiącami owadów, które już staruszkę dosłownie nadjadły. Wezwał pomocy i przewieziono ją w stanie beznadziejnym do szpitala, gdzie zmarła.

Chłopi hiszpańscy palą dwory. Strajk robotników rolnych i niezadowolenie wśród chłopów hiszpańskich spowodowały w niektórych tamtejszych prowincjach groźne wrzenie. Wskutek tego ruszyli oni na dwory i plebanje, paląc je i rabując. W niejscowości Moron de la Frontera chłopi otoczyli olbrzymie zabudowania folwarczne oraz dwór i podpalili je w czterech rogach, pilnując, aby się wszystko spaliło doszczętnie. Podobne wieści nadchodzą z innych miejscowości hiszpańskich. Straże pożarne gaszą takie pożary pod ochroną wojska i policji.

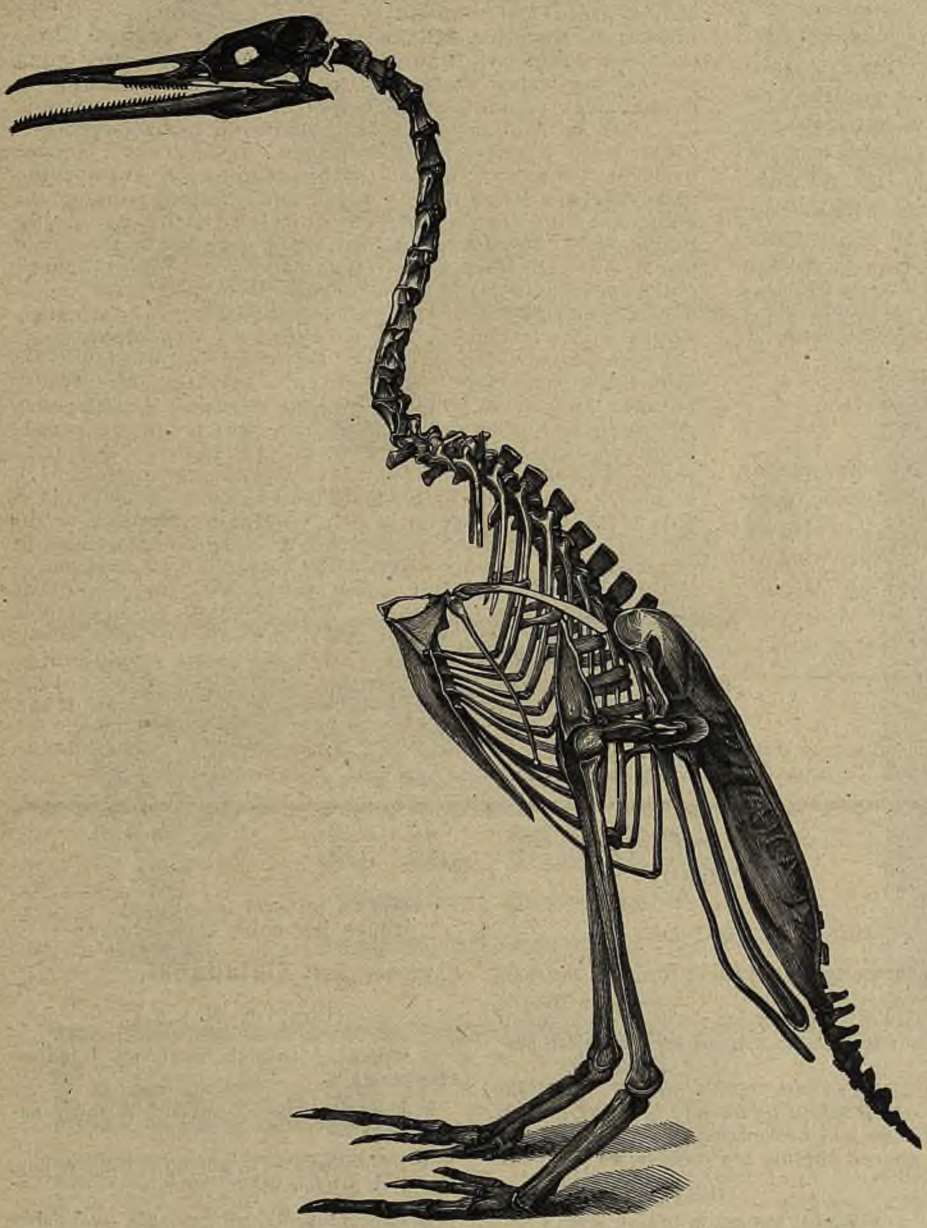
Zmiana rządu w Niemczech. Dotychczasowy rząd niemiecki, na którego czele stał kanclerz Brüning, podał się do dymisji. Prezydent Rzeszy Hindenburg powierzył utworzenie nowego rządu posłowi z Centrum katolickiego Papenowi. Nowy kanclarz w przeciągu trzech dni utworzył nowy rząd, wskutek czego postępowanie Niemców w polityce tak wewnętrznej, jak i zagranicznej zmieni się bardzo. Papen bowiem, chociaż należał do Centrum katolickiego, niewiele się różni od hitlerowców a w szowiniźmie niemieckim w niektórych kierunkach nawet ich przewyższa. Już w czasie wojny dał się Papen poznać dobrze w Ameryce, jako szpieg niemiecki. Będąc wówczas członkiem ambasady niemieckiej w Waszyngtonie, szpiegował, intrygował i kręcił, przyczyniając się tem mimowoli, że Ameryka wystąpiła w czasie wojny po stronie Francji, a przeciwko Niemcom. Objęcie kanclerstwa w Niemczech przez Papena wywołało w całym świecie jak najgorsze wrażenie. Zachodzi obawa, że teraz Niemcy wystąpią otwarcie z żądaniem rewizji Traktatu Wersalskiego, a temsamem z żądaniem oddania im Pomorza i Śląska Górnego. Dla nas może to i lepiej, gdyż dotąd łudził się świat i wierzył w pokojowość Niemiec, a gdy obecnie odkryją swoje prawdziwe oblicze, oburzą do reszty przeciw sobie cały świat. Przekonają się nawet ci, którzy Niemcom wierzyli, jakie są naprawdę ich dążenia.

Katastrofa w starym zamku. Cała Belgja poruszona została straszną katastrofą w starożytnym zamczysku Seigneurs de Lalaing, zbudowanem w XV wieku i będącem własnością hr. Andrien van den Burcha. Zamek ten jest najbardziej malowniczy w całej okolicy. Zbudowany on jest z olbrzymich kamieni na skale, wystrzelającej z ziemi prostopadle w górę. Posiada on pięć okrągłych wież. W ostatnich latach był odrestaurowany przez kanonika Puissanta. Do zamku tego skierowała się w celu zwiedzenia go grupa młodych dziewcząt w wieku lat 15 do 19, wychowywanych w klasztorze Soeurs de Notre Dame. Młode dziewczęta, zebrane w jednej z sal, słuchały wyjaśnień towarzyszącego im opata, gdy nagle załamała się pod niemi podłoga i część runęła do podziemi. Inne, znajdujące się w pobliżu drzwi, zdążyły się wycofać z fatalnego pokoju, reszta zaś chwyciła się balustrady, znajdującej się w tej sali i starała się pozostać w pozycji wiszącej aż do nadejścia pomocy. Balustrada pękła jednak pod ciężarem wiszących na niej dziewcząt i wraz z niemi runęła do podziemi, gniotąc te, które tam spadły już poprzednio. Z 75 dziewcząt, znajdujących się w sali, trzydzieści pięć uległo wypadkowi. Wszystkie odniosły poranienia, kilka z nich bardzo ciężkie. Wysokość, z jakiej spadły nieszczęśliwe, wynosiła przeszło trzy metry.

RZECZY CIEKAWE.

Przedpotopowy olbrzym.

Podawaliśmy już niejednokrotnie na tem miejscu podobizny olbrzymów zwierzęcych, jakie żyły



na kuli ziemskiej przed potopem. Obecnie zamieszczamy jeszcze podobiznę szkieletu jednego ptaka, jakich dziś już nigdzie niema na świecie. Oczywiście nie ma on polskiej nazwy, gdyż wówczas języka polskiego nie znano. A i to nie wiadomo, jak on się nazywał, jeżeli wogóle ludzie znali go i nadawali mu jakąkolwiek nazwę. Dopiero po odkopaniu jego szkieletu z ziemi w czasach nowszych nadano mu nazwę naukową i to, jak zwykle, nazwę łacińską. Nazywa się więc teraz: Hesperornis regalis.

Szkielety tego ptaka znajdują poszukiwacze w kredach północnej Ameryki. Skrzydła miał on za nikłe i zdaje się, że nigdy nie miał ich do lotu sposobnych; natomiast miał nogi pływne pletwiaste, w osadzie ku tyłowi cofnięte, bo był to ogromny, do półtora metra dorastający pływak i nurek. — W dziobie miał osadzone rzędami zęby. Wartało widzieć takiego ptaka olbrzyma, pływającego po głębokich wodach, lub brodzącego po bagnach.

Z życia mrówek.

Inteligentne z ludzkiego punktu widzenia działanie owadów „państwowotwórczych“, jak pszczoły i mrówki, szczególniej zaś te ostatnie, skłania uczonych do badania ich życia, impulsów ich postępowania oraz sposobów ich porozumiewania się w sprawach organizacyjnych. Ostatnio przeprowadzone badania i obserwacja czerwonych mrówek, posunęły naszą wiedzę o dalszy krok w poznaniu i zrozumieniu naszych malutkich współmieszkańców ziemi.

Jeżeli mrówka w swej pozornie bezcelowej wędrówce znajdzie zdobycz zbyt ciężką, by ją sama udźwignąć mogła, wraca do gniazda, porozumiewa się z kilkoma towarzyszkami zapomocą macek i prowadzi je do znaleziska, które wspólnemi siłami transportują do składu, czy spiżarni. Jeśli znaleziony przedmiot, aczkolwiek duży, da się przenieść „na raty“, odkrywczyni dokonywa tego sama, nie alarmując innych mrówek. Po zabraniu ostatniego kawałka powraca i przebiegając miejsce znalezienia w różnych kierunkach, bada, czy nic już nie pozostało. Mrówka taka przejawia przytem nadzwyczajną obowiązkowość: żadna przeszkoda, nawet silna pokusa w postaci napotkanej kropli słodkiego miodu, nie może jej odciągnąć od „bieżącej“ roboty. Natomiast pomocnice rzucają się łapczywie na miód i pożerają go. — Powstałoby zatem pytanie, czy pierwsza mrówka mackami swemi zakomunikowała swym pomocnicom tylko fakt znalezienia, czy też uświadomiła je także co do istoty i miejsca znalezienia. Aby się o tem przekonać monachijski entomolog prof. Eidman zaaranżował następujące doświadczenie. Mrówkę, która przybyła do gniazda po pomoc, bezpośrednio po skomunikowaniu się jej z innemi, usunięto. Zaalarmowane pomocnice dopiero po dłuższem poszukiwaniu znalazły zdobycz, po którą się udały. Świadczyłoby to, że wzywająca pomocy mrówka nie zakomunikowała towarzyszkom, gdzie leży znaleziony przedmiot tak, że te szukały poomacku.

Oko mrówki, mało rozwinięte jako organ zmysłu widzenia, jest tym kompasem słonecznym mrówki, który ją na na wschód lub zachód kieruje. Badacz mrówek Sansi i Szwajcar Brun udowodnili to następującem doświadczeniem: miejsce, na którem znajduje się dużo mrówek, dążących do i od gniazda zasłonili od słońca parasolem, światło zaś słoneczne przy pomocy dużego lustra skierowali w przeciwną stronę; i oto cały wędrujący ludek mrówczy zawrócił i skierował się odwrotnie drogą, którą przybył.

Brun opisuje następującą obserwację: mrówka odchodzi do gniazda po piaszczystym terenie dokładnie w kierunku słońca, świecącego bardzo jaskrawo. Nagle zostaje przykryta pudełkiem i zatrzymana w swym pochodzie. Po kilku godzinach wypu-

szczona, po oznaczeniu kierunku swym kompasem, udaje się do gniazda, kierując się o tyle samo dokładnie stopni zanadto na prawo, o ile słońce przesunęło się na lewo. Podobne próby były czynione wielokrotnie. Poczucie, że jeżeli się szło pod słońcem to w drodze powrotnej należy je mieć za plecami, zdaje się być mrówkom wrodzone.

Jednakże i zmysł dotyku gra rolę w orjentacji kierunkowej. Aby to udowodnić skonstruowano sztuczne gniazdo na dolnym brzegu leżącej pochyło deski. Powyżej umieszczono miseczkę z miodem, do której zatem mrówki szły pod górę. Gdy mrówki zajęte były łasowaniem, obrócono deskę tak, że gniazdo znalazło się w jej górnym końcu. Najedzone mrówki, wracając do gniazda, kierowały się wyłącznie wdół, gdzie podług ich poprzedniego doświadczenia gniazdo znajdować się powinno. Nie przypuszczały biedaczki, że złośliwość czy ciekawość i badawczość ludzka splatały im figla.

Nowa ozdoba pań.

W Indjach zachodnich znajduje się chrabąszcz, zwany przez krajowców „cucuro“, który świeci w nocy. Świetliste chrabąszcze wydają blask żółtawo-zielony. Eleganckie damy w Hawannie wprowadziły nową modę: noszą „cucuro“, jako ozdobę tualety wieczorowej. Chrabąszcze zaszywa się w woreczek z gazy i nosi albo we włosach, albo też przy sukni.

Odpowiedzi Redakcji:

Pp. **Jan Pelczar** w W. S.: Za artykuł serdecznie dziękujemy; pójdzie w jednym z najbliższych numerów. „Dziwy życia“ jeszcze nie prędko się skończą. Czy Brutanek ożeni się z Martą, nie wiemy, gdyż nam nie chcą powiedzieć; zasłania się tajemnicą redakcyjną. Cieszy nas, że powieść ta tak bardzo Pana zajmuje, a przypuszczamy, że i autor się tą wiadomością ucieszy. — **Michał Kempys** w B.: Nadesłany utwór, jako bardzo aktualny, zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. — **Stanisław Jucha** w K.: Nadesłany artykuł byłby bardzo na czasie przed świętem Matki; obecnie spóźniony. Nie zamieścimy. **Karolina Milska** w K.: Rodzina pszczela składa się z trzech gatunków pszczół, a więc jest tam jedna jedyna samiczka, zwana matką albo królową, której jedynem jest składanie jajek (potrafi ich złożyć dziennie do 3.000 sztuk), dalej jest kilkadziesiąt pszczół-robotnic, które lepią plastry, karmią młode gąsieniczki i znoszą miód, a wreszcie kilkaset trutni-próżniaków, które tylko miód zjadają i nic więcej nie robią. Lepiej zapłacić za dobry pień nawet 200 złotych, aniżeli za lichy 20. — **Jan Pęcak** w N.: Niestety, ma Pan słuszność! Nie zasługi, nie praca, ale protekcje i przynależność do jakiejś partji politycznej dziś grają główną rolę. Było pod tym względem źle dawniej, ale dziś jest jeszcze gorzej. — Stanisław **Kopta** w N.: Dziwnie ten, o którym Pan wspomina, chyli się coraz bardziej do upadku. Od kilku lat usadowił się tam jakiś zły duch, który czyni wszystko, aby resztę zwolenników tego pisma od niego odsunąć. Dziennikarz powinien być nietylko dobrym pisarzem i znawcą przedmiotu, ale powinna go cechować uprzejmość kupiecka wobec swoich czytelników. Jeżeli brak tej uprzejmości, to nawet najżyczliwsi ludzie odsuwają się od dziennikarza, a wówczas upaść on musi. — **Marja Molicka** w D.: Truskawki najlepiej rozsadzać w sierpniu. Roślinki te puszczają tak zwane wąsy. Na wąsach tych wyrastają listki i w tym miejscu, gdzie takie listki wyrosną, roślinka zapuszcza korzenie. Wówczas tak zakorzeniona odcina się i przesadza na nowe miejsce w sierpniu. Obecnie takie wąsy należy tępić, gdyż wpływają one ujemnie na owocowanie. Bób mioduje dość silnie, więc dobrze Pani zrobiła, sadząc go w pobliżu pasieki. — **Jan Maga** w B.: Na czeku był adres Pański w Besłużnie, więc też „Rolę“ tam skierowaliśmy. Obecnie adres zmieniliśmy. Nadliczbowe numera prosimy dać znajomym.

Zagadki do nagrody.

1. Konikówka.

(Ułożył W. Lorenc z Ł.).

P	E	Ń	Z	A	I	C
E	Ę	L	G	W	I	T
I	E	Ę	H	A	I	E
O	I	T	A	H	A	M
Z	W	C	L	C	Ń	Ą
C	R	O	P	L	Y	T
K	R	E	T	R	Ż	P

Ruchem konika szachowego począwszy od litery „K“ umieszczonej w ostatnim rzędzie na dole odczytać powszechnie znane przysłowie.

2. Szarady.

I.

(Ułeżył Fr. Ryszyński z O.).

W czwartym znajdziesz drogę kolei pań-
[stwowych,
Trzecią drugą dajesz do ubrań zimowych,
Znowu czwarta z drugą przysmakiem przy
[stole.
B z pierwszego wojny niema. A wielka
[zawsze bywa gdy ich jest dowoli.
Całość jest narzędziem, rolnikowi znane
I na roli chętnie z wiosną bywa używane.

II.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).

Pierwsze to drzewo jest w lesie,
Wspak drugi coś ktoś w nim niesie,
Trzecią znajdziesz w liter rzędzie,
Drugi jest przy drodze wszędzie.
Całość to imię wszystkim dobrze znane
Dzisiaj już nieużywane.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Patulski z O)

I.

Wprost to rycerz legendarny,
Wspak u ludzi trzyma głowy.

II.

Wprost minerał kopalniany,
Wspak jest dobry gdy wygrany.

4. Układanki.

(Ułożył N. N. z K.).

1. Spółgł. + zaimek osobowy + jednostka wagi = ?
2. Odłamy lodu + bomba + pismo + samogłoska = ?
3. Spółgłoska + utwór muzyczny w licz. mnog. + bóstwo = ?
4. Samogłoska + zwierciadło w liczbie mnog. + spółgł. + zaimek = ?

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył K. Hobgarski z R.).

Jan Nictalczeski.

Odczytać zawód tego pana.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 17 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 22 „Roli“: 1. Logogryf: Feliks Kowalczyk, 2. Zagadki: I. Aktor, II. Orno—Oran—rano—nora, III. Polska, IV. Potop, 4. Układanki: Tornister, reneta, automat, 5. Krzyż magiczny: Automat, Krawiec, Minimum.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali: Feliks Popielarczyk z S.(ucha) i Teofil Burman z K. i oni otrzymają nagrody.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

„Prawda zwyciężyła".

Pewien kupiec prowincjonalny prowadził zawiły proces w stolicy. Sprawa „ciągnie się już dość długo i beznadziejnie, wreszcie sprytny mecenas proces wygrywa, a o zwycięstwie zawiadamia swego klienta depeszą: „Prawda zwyciężyła!"

Następnego dnia otrzymuje adwokat telegram od swego klienta:

— „Założyć apelację".

Żebrak.

— Łaskawa pani, proszę o kilka groszy.

— Niech cię Pan Bóg opatrzy.

— A paniusię niech pogotowie ratunkowe opatrzy.

W szkole.

Nauczyciel: Kiedy powiesz „lubię nauczyciela" — jaki to będzie przypadek?

Uczeń: Bardzo rzadki, panie profesorze.

Giełda płodów rolniczych
z dnia 6 czerwca b. r.

Pszenica	29·25—29·50	Słoma długa	8·50—9·00
Żyto .	28·25—28·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	25·00—26·00	Koniczyna na-	
Jęczmień .	21·00—21·50	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	45·00—45·50
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	49·50—50·00
Siano słodk.	13·00—14·00	Otręby pszen.	15·00—15·50
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	15·50—16·00
Koniczpastew.	16·00—18·00	Mąka czerw.	17·50—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy
w dniu 6 czerwca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·00 do 1·20 zł.	Nierogacizna lżejszej wagi	od 1·40 do 1·50